Florian Śmieja – doktor honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego.



Uroczystość wręczenia doktoratu honoris causa na Uniwersytecie Wrocławskim, 2915 r., od prawej: rektor Uniwersytetu Wrocławskiego prof. Marek Bojarski, prof. Florian Śmieja i prof. Beata Baczyńska..

Beata Baczyńska *(Wrocław)*

Profesor Florian Śmieja urodził się 22 sierpnia 1925 roku w Kończycach na Górnym Śląsku. Jego rodzice, wywodzący się z Dobrzenia Wielkiego i Starych Siołkowic, po plebiscycie 1921 roku postanowili opuścić rodzinną Opolszczyznę i zamieszkać w granicach Polski. Florian Śmieja naukę rozpoczętą w rodzinnych Kończycach kontynuował w Tarnowskich Górach w Gimnazjum im. księcia Jana Opolskiego. Do wybuchu wojny zdążył ukończyć dwie klasy. W 1940 roku został wywieziony na roboty przymusowe do Meklemburgii. Pod koniec wojny znalazł się w

Belgii, gdzie – po wkroczeniu wojsk alianckich – zaciągnął się ochotniczo do polskiego wojska.

Po wojnie uzupełnił wykształcenie w polskim gimnazjum i liceum dla zdemobilizowanych żołnierzy w Szkocji. Po uzyskaniu matury w 1947 roku znalazł się w Irlandii, gdzie w University College w Cork studiował filologię angielską i hiszpańską, uzyskując w 1950 roku dyplom *Bachelor of Arts*. Wówczas zaproponował mu asystenturę prof. Jerzy Pietrkiewicz, który w 1950 roku objął katedrę literatury polskiej w School of Slavonic and East European Studies w Londynie. Florian Śmieja kontynuował równolegle studia magisterskie w londyńskim King's College, uzyskując w 1955 roku tytuł magistra filologii hiszpańskiej, a siedem lat później, w 1962 roku, stopień doktora, po złożeniu rozprawy pt. *Antonio de Ledesma and the Rise of the Religious Concept*, którą napisał pod kierunkiem Alexandra A. Parkera. W latach 1958-1963 Florian Śmieja był wykładowcą języka hiszpańskiego w London School of Economics, po uzyskaniu doktoratu objął stanowisko wykładowcy literatury hiszpańskiej na Uniwersytecie w Nottingham (1963-1969). W 1969 roku przeniósł się wraz rodziną do Kanady, gdzie w 1970 roku objął katedrę literatury hiszpańskiej w University of Western Ontario w kanadyjskim London. Do przejścia na emeryturę (1991) kierował sekcją hiszpańską Department of Modern Languages and Literatures na tym kanadyjskim uniwersytecie. Mieszka w Mississauga z żoną Zofią z Poniatowskich, w Kanadzie żyją i

pracują ich dzieci – Anna, Barbara, Marek i Juliusz.

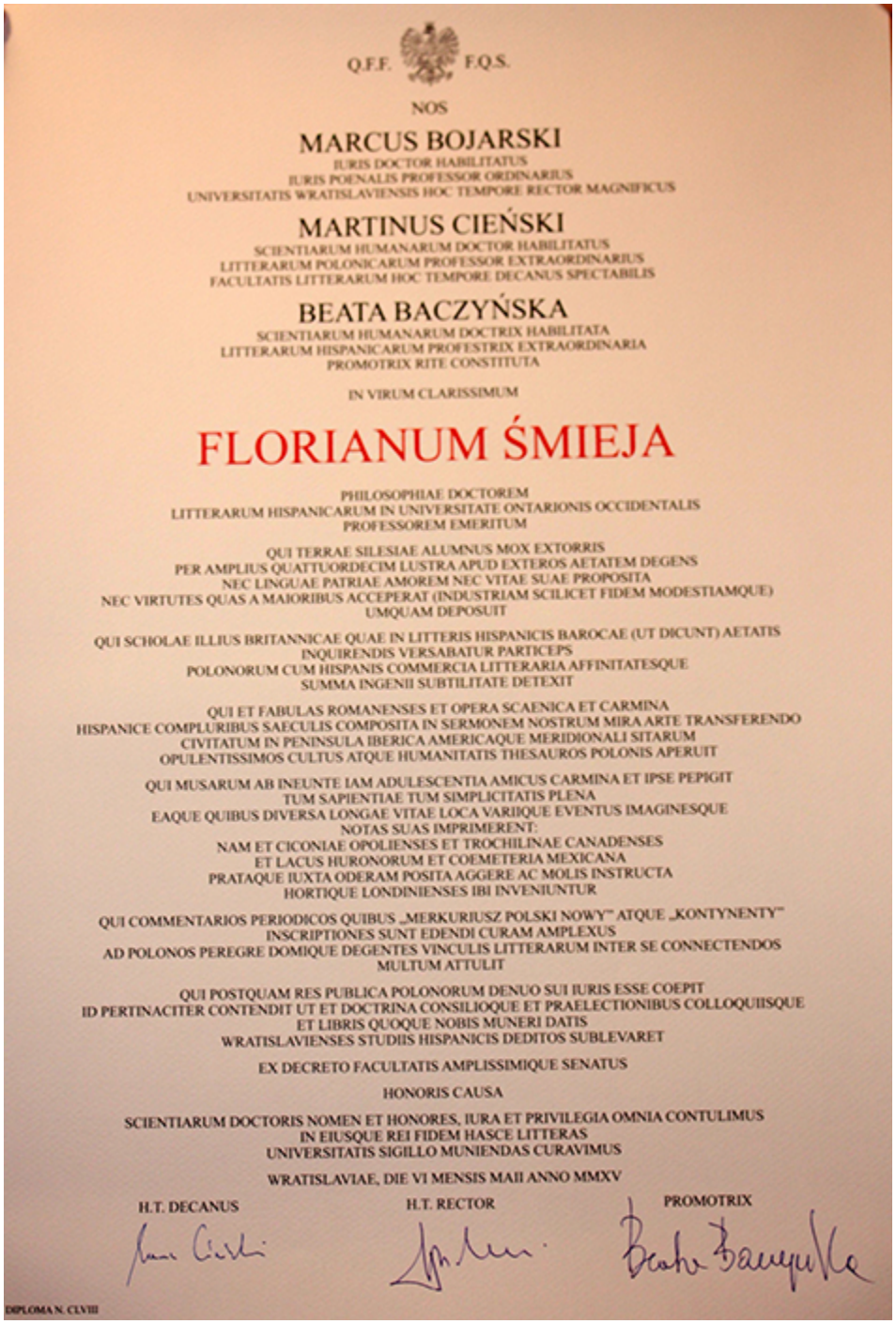

Q.F.F. F.Q.S.

NOS

MARCUS BOJARSKI
IURIS DOCTOR HABILITATUS
IURIS POENALIS PROFESSOR ORDINARIUS
UNIVERSITATIS WRATISLAVIENSIS HOC TEMPORE RECTOR MAGNIFICUS

MARTINUS CIEŃSKI
SCIENTIARUM HUMANARUM DOCTOR HABILITATUS
LITTERARUM POLONICARUM PROFESSOR EXTRAORDINARIUS
FACULTATIS LITTERARUM HOC TEMPORE DECANUS SPECTABILIS

BEATA BACZYŃSKA
SCIENTIARUM HUMANARUM DOCTRIX HABILITATA
LITTERARUM HISPANICARUM PROFESTRIX EXTRAORDINARIA
PROMOTRIX RITE CONSTITUTA

IN VIRUM CLARISSIMUM

FLORIANUM ŚMIEJA

PHILOSOPHIAE DOCTOREM
LITTERARUM HISPANICARUM IN UNIVERSITATE ONTARIONIS OCCIDENTALIS
PROFESSOREM EMERITUM

QUI TERRAE SILESIAE ALUMNUS MOX EXTORRIS
PER AMPLIUS QUATTUORDECIM LUSTRA APUD EXTEROS AETATEM DEGENS
NEC LINGUAE PATRIAE AMOREM NEC VITAE SUAE PROPOSITA
NEC VIRTUTES QUAS A MAIORIBUS ACCEPERAT (INDUSTRIAM SCILICET FIDEM MODESTIAMQUE)
UMQUAM DEPOSUIT

QUI SCHOLAE ILLIUS BRITANNICAE QUAE IN LITTERIS HISPANICIS BAROCAE (UT DICUNT) AETATIS
INQUIRENDIS VERSABATUR PARTICEPS
POLONORUM CUM HISPANIS COMMERCIA LITTERARIA AFFINITATESQUE
SUMMA INGENII SUBTILITATE DETEXIT

QUI ET FABULAS ROMANENSES ET OPERA SCAENICA ET CARMINA
HISPANICE COMPLURIBUS SAECULIS COMPOSITA IN SERMONEM NOSTRUM MIRA ARTE TRANSFERENDO
CIVITATUM IN PENINSULA IBERICA AMERICAQUE MERIDIONALI SITARUM
OPULENTISSIMOS CULTUS ATQUE HUMANITATIS THESAUROS POLONIS APERUIT

QUI MUSARUM AB INEUNTE IAM ADULESCENTIA AMICUS CARMINA ET IPSE PEPIGIT
TUM SAPIENTIAE TUM SIMPLICITATIS PLENA
EAQUE QUIBUS DIVERSA LONGAE VITAE LOCA VARIIQUE EVENTUS IMAGINESQUE
NOTAS SUAS IMPRIMERENT:
NAM ET CICONIAE OPOLIENSES ET TROCHILINAE CANADENSES
ET LACUS HURONORUM ET COEMETERIA MEXICANA
PRATAQUE IUXTA ODERAM POSITA AGGERE AC MOLIS INSTRUCTA
HORTIQUE LONDINIENSES IBI INVENIUNTUR

QUI COMMENTARIOS PERIODICOS QUIBUS „MERKURIUSZ POLSKI NOWY" ATQUE „KONTYNENTY"
INSCRIPTIONES SUNT EDENDI CURAM AMPLEXUS
AD POLONOS PEREGRE DOMIQUE DEGENTES VINCULIS LITTERARUM INTER SE CONNECTENDOS
MULTUM ATTULIT

QUI POSTQUAM RES PUBLICA POLONORUM DENUO SUI IURIS ESSE COEPIT
ID PERTINACITER CONTENDIT UT ET DOCTRINA CONSILIOQUE ET PRAELECTIONIBUS COLLOQUIISQUE
ET LIBRIS QUOQUE NOBIS MUNERI DATIS
WRATISLAVIENSES STUDIIS HISPANICIS DEDITOS SUBLEVARET

EX DECRETO FACULTATIS AMPLISSIMIQUE SENATUS

HONORIS CAUSA

SCIENTIARUM DOCTORIS NOMEN ET HONORES, IURA ET PRIVILEGIA OMNIA CONTULIMUS
IN EIUSQUE REI FIDEM HASCE LITTERAS
UNIVERSITATIS SIGILLO MUNIENDAS CURAVIMUS

WRATISLAVIAE, DIE VI MENSIS MAII ANNO MMXV

H.T. DECANUS | H.T. RECTOR | PROMOTRIX

DIPLOMA N. CLVIII

Dyplom

Na początku lat 90. prof. Florian Śmieja, z inicjatywy prof. dr.

hab. Piotra Sawickiego, nawiązał stałą współpracę z Uniwersytetem Wrocławskim, wspierając wiedzą i doświadczeniem młody zespół Zakładu Iberystyki w Instytucie Filologii Romańskiej. Od roku akademickiego 1991/92 do 1996/97 gościł we Wrocławiu co roku, prowadząc w semestrze letnim wykłady i seminaria z literatury hiszpańskiej i latynoamerykańskiej w Instytucie Filologii Romańskiej oraz zajęcia z literatury emigracyjnej w Instytucie Filologii Polskiej.

Profesor Florian Śmieja jako hispanista jest przedstawicielem angielskiej szkoły studiów hispanistycznych, która na przełomie lat 50. i 60. ubiegłego wieku była w szczytowym punkcie rozwoju. Jest uczniem Alexandra A. Parkera oraz Edwarda M. Wilsona, których prace zapoczątkowany nową epokę w studiach nad literaturą i kulturą hiszpańskiego baroku. Profesor Florian Śmieja wpisał się w reprezentowany przez nich nurt badań nad hiszpańskim konceptyzmem oraz dramaturgią hiszpańskiego Złotego Wieku. Współpracował z hiszpańskimi wydawnictwami jako edytor tekstów dawnej literatury hiszpańskiej, opracował m.in. wydanie dramatu Cervantesa *El rufián dichoso* (Zaragoza, Clásicos Ebro, 1977) oraz sztuki hagiograficznej Agustina Moreto *El lego del Carmen* (Salamanca, Anaya, 1970).

Charakterystyczny rys jego badań stanowi podejmowanie wątków komparatystycznych. Wskazywanie na filiacje polskie w literaturze hiszpańskiej traktował jako swoją misję, wyniki badań

publikując w czasopismach hispanistycznych i filologicznym o zasięgu światowym: „Bulletin of Hispanic Studies”, „The Modern Language Review”, „Hispanic Review”, „Romance Notes”, „Revista Canadiense de Estudios Hispánicos”, „Revista de Literatura”, „Kwartalnik Neofilologiczny”, „Archivo Hispalense”. Śledził ślady najwcześniejszych tłumaczeń i adaptacji hiszpańskiej literatury na język polski oraz polskich tematów w hiszpańskiej literaturze, w tym polskich świętych, którzy stali się bohaterami hiszpańskich dramatów w wieku XVII. W madryckiej Bibliotece Narodowej odnalazł rękopis sztuki o św. Kazimierzu, przypisywany Agustinowi Moreto, i opublikował – *Antes morir que pecar* (London, University of Western Ontario, 1992). Dokumentował także recepcję hiszpańskich dramatów w Polsce, docierając do tekstów uznawanych za zaginione, np. do pierwszego polskiego przekładu *Życia snem* Calderóna, którego premiera odbyła się we Lwowie w 1826 roku. Podawał do wiadomości przekłady polskich relacji i pamiętników z podróży, w których opisywano Hiszpanię lub spotkania z Hiszpanami, m.in. anonimowy diariusz z podróży do Hiszpanii w 1595, dziennik podróży Stefana Paca, który towarzyszył królewiczowi Władysławowi Wazie w podróży po Europie w latach 1624-1625.



Prof. Florian Śmieja, Uniwersytet Wrocławski, 2015 r.

Pracę naukową i dydaktyczną Profesor Śmieja łączył z działalnością na rzecz upowszechniania literatury hiszpańskiej w polskiej – krajowej i emigracyjnej – prasie literackiej. Współpracował m.in. z londyńskimi „Wiadomościami" i „Życiem Akademickim", paryską „Kulturą", kanadyjskim „Związkowcem", po 1956 roku nawiązał kontakt z polskimi czasopismami – od lat 60. publikował m.in. na łamach „Więzi", „Tygodnika Powszechnego", w latach 90. współpracował z czasopismem

„Śląsk”, wrocławską „Odrą”. Jest autorem licznych przekładów literatury hiszpańskiej i hispanoamerykańskiej – wierszy, dramatów, opowiadań, powieści. W okresie współpracy z Uniwersytetem Wrocławskim ukazały się m.in. wydania dwujęzyczne *Abencerrag. Historia Abindárraeza i pięknej Haryfy* (Wrocław, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, 1995), anonimowej noweli hiszpańskiej z XVI wieku, pełne wydanie miniatur poetyckich prozą Juana Ramóna Jiméneza *Srebroń i ja* (Wrocław, Wydawnictwo Wacław Bagiński, 1997), meksykańską powieść pt. *Zadumana* Juana Goytortúy, *Legendy i listy literackie* hiszpańskiego romantyka, Gustavo Adolfo Bécquera (Wrocław, Wydawnictwo Wacław Bagiński, 2000). W 1988 roku nakładem Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie ukazał się w jego tłumaczeniu z języka hiszpańskiego zbiór *Poezji arabsko-andaluzyjskich*, którego drugie wydanie ukazało się pięć lat później nakładem katowickiego Centrum Kultury (1993). Wcześniej, od lat 70. Profesor Śmieja współpracował z Wydawnictwem Literackim, które wydało w jego przekładzie powieść *Gniew* Mariano Azueli (1973) oraz *Czas milczenia* Luisa Martína-Santosa (1978).

Florian Śmieja był współzałożycielem i redaktorem londyńskich pism literackich – „Merkuriusza Polskiego” i „Kontynentów”, które odegrały bardzo ważną rolę w panoramie literatury emigracyjnej na przełomie lat 50. i 60., stawiając na łączność ze środowiskiem twórców w kraju. Działalność edytorska, literacka

i publicystyczna to bardzo ważna sfera działalności Profesora Floriana Śmiei. Już w 1953 roku zadebiutował tomikiem wierszy *Czuwanie u drzwi*, wydanym w Londynie, w 1964 nakładem Oficyny Poetów i Malarzy również w Londynie ukazał się kolejny – *Powikłane ścieżki*. Rok później jego wiersze znalazły się w antologii przygotowanej przez Adama Czerniawskiego, która ukazała się w Londynie – *Ryby na piasku* (1965). W 1982 roku Wydawnictwo Literackie w Krakowie opublikowało wybór jego wierszy. Kolejne tomy ukazywały się w Kanadzie – *Kopa wierszy* (1981), *Jeszcze wiersze* (1984), *Przezorność czasu* (1992), *Ziemie utracone* (1994). W 1994 roku ukazał się we Wrocławiu – *Mały wybór wierszy*, w 1998 w Katowicach – *Wiersze wybrane*, równolegle – nakładem Silcan House w Mississauga – ukazywały się kolejne tomiki m.in. *Wśród swoich* (1998), *Niepamiętanie* (1999), *Bezrok* (2001). W 1989 roku ukazał się jego wybór wierszy w przekładzie na język angielski opatrzony znaczącym tytułem-deklaracją poety, polskiego emigranta zamieszkałego w Kanadzie: *Not a Tourist* (London, Third Eye Publications). Wcześniej, w 1984 roku, razem z Wacławem Iwaniukiem opracował dwujęzyczną antologię *Seven Polish Canadian Poets*, która ukazała się nakładem Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie. Znaleźli się w niej m.in. Andrzej Busza, Bogdan Czaykowski, Janusz Ihnatowicz, z którymi Florian Śmieja współpracował na łamach „Merkuriusza Polskiego" i „Kontynentów". W 1990 roku wydał książkę zawierającą rozmowy z Tymonem Terleckim, Jerzym Pietrkiewiczem,

Januszem Ihnatowiczem, Stanisławem Barańczakiem, Krzysztofem Lisowskim, Julią Hartwig i Arturem Międzyrzeckim oraz Wacławem Iwaniukiem (*Siedem rozmów o poezji*, Toronto, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie). Sama lista interlokutorów pokazuje zamysł łączenia doświadczeń krajowych i emigracyjnych twórców. Taki bowiem charakter miała od końca lat 50-tych działalność literacka, krytyczna i publicystyczna Floriana Śmiei.



Profesor Florian Śmieja w 2015 roku otrzymał Krzyż Komandorski Orderu Izabeli Katolickiej od króla Hiszpanii Filipa VI.

Profesor Florian Śmieja niestrudzenie dokumentuje działalność literacką polskich emigrantów oraz pamięć o ważnych postaciach polskiej diaspory powojennej w Wielkiej Brytanii, Hiszpanii, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Ameryki Łacińskiej. Własne archiwum literackie przekazał Uniwersytetowi Rzeszowskiemu. Twórczości literackiej i hispanistycznej Profesora Śmiei

poświęcono kilka konferencji naukowych i książek. W 2011 roku Profesor został odznaczony srebrnym medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. W dniu 29 października 2014 roku Senat Uniwersytetu Wrocławskiego podjął uchwałę w sprawie nadania tytułu doktora *honoris causa* Uniwersytetu Wrocławskiego Profesorowi Florianowi Śmiei.

Tekst ukazał się w czasopiśmie „Estudios Hispánicos”, 23 (2016).

Rozmowa z prof. Florianem Śmieją na temat literatury hiszpańskojęzycznej:

https://www.cultureave.com/wywiad-z-prof-florianem-smieja/

Zapisać życie



Florian Śmieja

Edward Zyman *(Toronto)*

W jednym z wierszy, zamieszczonym w wydanym w 2016 roku obszernym wyborze *Dotykanie świata*, Florian Śmieja napisał: „Poję kolibry w domku nad Huronem / znalazłem czas, by nacieszyć się światłem". Światłem nie w sensie brzasku budzącego się dnia, bądź iluminacji słońca, które w nieskażonej przyrodzie kanadyjskiej prowincji Ontario, nad jeziorem Huron, jawi się poecie w całej swej krystalicznej intensywności. Bo nie tyle o piękno natury tu chodzi, co nade wszystko o nieprzebrane bogactwo sensów życia, o jego wymykającą się najbardziej nawet precyzyjnym opisom tajemnicę. Znalazłszy się w wieku z „najwyższej półki", poeta wie, że owego bogactwa nie jest w stanie do końca przeniknąć, ani tym bardziej wyrazić, że,

zamyślając się w głębokiej zadumie nad swą długą, intensywną, pełną spełnień, ale także zaniechań i niepowodzeń egzystencją, może jedynie dotknąć fenomenu bytu. Stąd właśnie taki, a nie inny, podyktowany mądrą pokorą, tytuł przywołanego tomu. Dotknąć intrygującej tajemnicy świata, musnąć ją zaledwie – oto wszystko na co zdobyć się może świadomy swej incydentalności człowiek. Który wiele doświadczył i… wyzbył się tym samym tak silnie nas determinujących w okresie młodości złudzeń.

> Budząc się o świcie – pisze poeta w przedsłowiu tomu wspomnień, zatytułowanego *Delta czasu* – staram się z otwierającej się świadomości wyłuskać oryginalny pomysł, jego zawiązek i wyartykułować jego początek. Powtarzam go i dobieram właściwe słowa, aż do upewnienia, że posiadam myśl wartą zachowania.

Tak powstają krótkie, pisane od kilku lat, notacje, nazywane przez autora „wierszykami". Intencją tych utworów, utrzymanych w formie kilku lub kilkunastu nierymowanych wersów, z reguły jedenastozgłoskowych, jest uchwycenie i skomentowanie „trywiów dnia". A zatem tego, co stanowi esencję życia człowieka, któremu wiek ograniczył fizyczną aktywność, lecz – na szczęście – nie wrażliwość i ciekawość świata. Poeta, świadomy upływu czasu i związanych z tym konsekwencji, stara się zarejestrować, utrwalić jak najwięcej z

tego, co doświadczają jego zmysły. A utrwalić, znaczy – zawrzeć w słowie, nadać zdarzeniom, sytuacjom, drobinom wypełniającym naszą powszednią egzystencję, kształt poetycki. To, co kiedyś wydawało się nam naturalne i oczywiste, co częstokroć umykało naszej uwadze, dzisiaj zasługuje na szczególną wnikliwość. Dotyczy to przede wszystkim nas samych.

> Opadły mnie niemoce organizmu
>
> i przypuściły koncentryczny atak.
>
> („Agonia?”)

Świadomy nieustannego słabnięcia

> organizmu śledzę jego kondycję
>
> i obserwuję uchodzenie życia
>
> stając się jego kronikarzem.
>
> („Homo sum”)

Właśnie: kronikarzem. Ostatnie notacje, wypełniające karty tomu *Nanizując paciorki słów*, są niezwykle osobistą, nie waham się stwierdzić: intymną kroniką spostrzeżeń, uczuć i myśli Floriana Śmieji. Poeta, zawsze wyczulony na niepowtarzalność, urodę ale i zarazem tragizm człowieczego losu, w książce tej podejmuje ów problem wprost. Pisze głównie, choć nie tylko, o ciemnej stronie życia. Jednym z częstszych motywów notacji jest starość, pełne stoickiej pogody przyjmowanie jej atrybutów („Wyczekiwanie kresu nie musi być / bezowocne Mobilizacja ducha / nadal przynosi korzyści…" – „Na wachcie"; „Starzeć się poprawnie też trzeba umieć / bowiem nic nie przychodzi samo z siebie" – „Poprawość"; „Mój alzheimer, jak dotąd, traktuje mnie / z wielkim pobłażaniem …" – „Pomocnik?"; „Starość ma własny rytm, stateczność, umiar / rozsądek. Młodych nie do goni, słabsza / nie ma siły i nie widzi potrzeby" – „Starość").

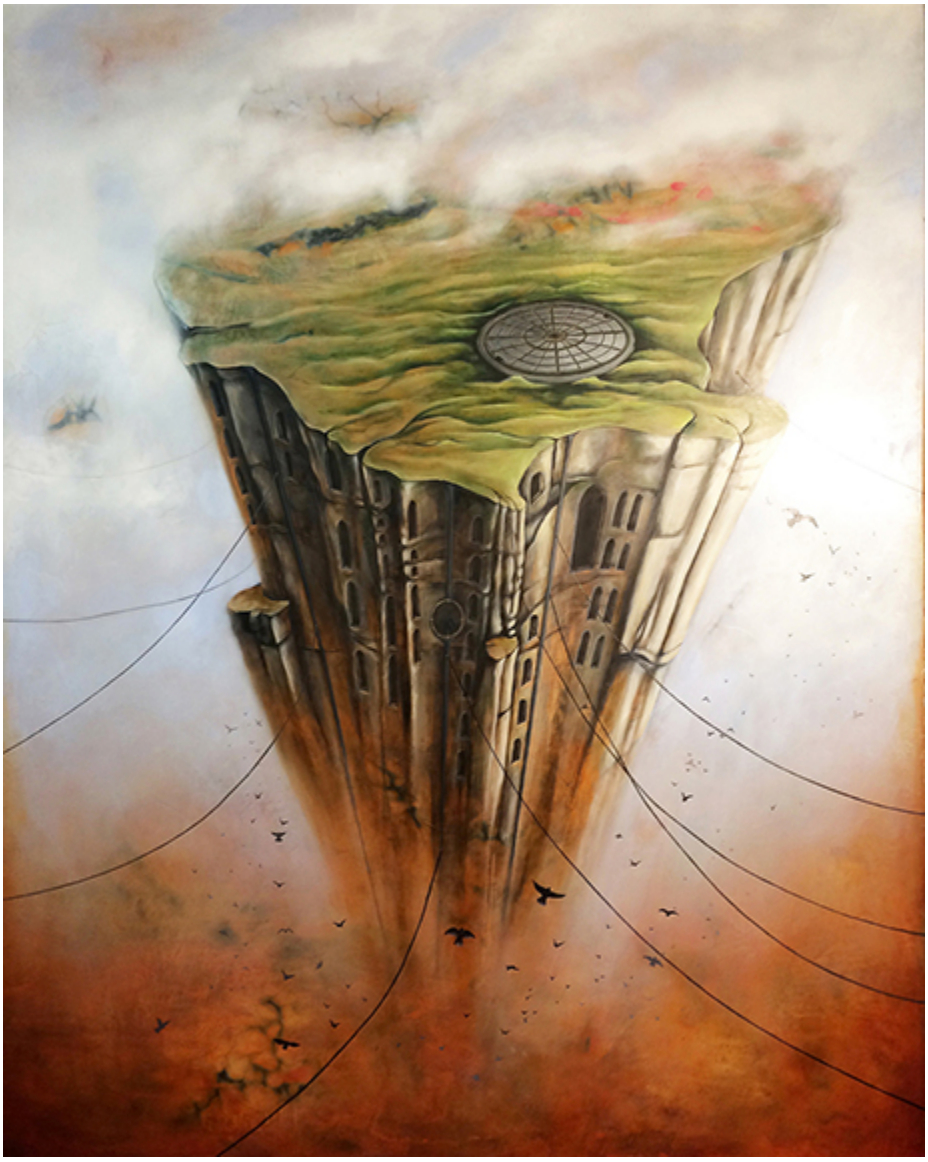

Iwona Dufaj, Manhole – 30″x 40″ plaster and oil on canvas.

Przebijającemu z tych konstatacji racjonalnemu pogodzeniu się z przypadłościami mocno zaawansowanego wieku, który poeta nazywa drugim, jakby: darowanym niezasłużenie życiem, towarzyszy ujmujące poczucie humoru. Wspomniany alzheimer jest pobłażliwy, odmawiające posłuszeństwa organy stanowią obszar chciwych zabiegów różnej maści specjalistów („Człowiek się sypie”), co poeta postrzega z właściwą mu łagodną autoironią i dystansem. Wszystko to powoduje, że „…gerontologia / jako

dyscyplina ma wielką przyszłość” – „Długowieczność”).

„Żyję na kredyt na wysokiej półce” stwierdza poeta w wierszu „Na ostatku”. Ma świadomość, że w każdej chwili „może się osunąć bez życia”. I właśnie dlatego odrzuca bezczynność bezrefleksyjnego oczekiwania na to, co niezależnie od jego woli, i tak się wydarzy. Antidotum widzi w mądrej, korespondującej z jego możliwościami, aktywności. Przede wszystkim intelektualnej, a precyzując rzecz dokładniej: pisarskiej, twórczej. „Nim wstanie dzień miej już napisany wiersz, / poczujesz się zasługującym na świt / na łaskę kontynuowania życia…” – „Nim wstanie dzień”. Gdzie indziej stwierdzi: „Wygrasz, jeżeli zamiast czekać, zajmiesz / się czymś innym…” – „Wygrana”. I choć poeta ciągle ma świadomość „darowanego życia” („Znów przeszed dzień, ile ich jeszcze będzie? / Tego sekretu już nie odgadniemy…” – „Ile ich jeszcze”), nie zamierza spowalniać. Chce spożytkować jak najowocniej każdą chwilę.

> Czwarta nad ranem jest moją godziną
>
> co regularnie w głębokiej ciszy
>
> wciąż mnie zachęca do dalszego trwania
>
> budząc świadomość, by snuła plany

> na pełny dzień zabiegów tak ambitnych
>
> że niepodobna oprzeć się prospektom
>
> („Godzina prawdy”)

Rozwijając zawarte w przytoczonych wersach przesłanie, w tym samym wierszu uzasadni je w sposób racjonalny. Skoro „do samej śmierci wszystko jest życiem”, wiele podjętych kiedyś pomysłów i inicjatyw można dokończyć, wiele spraw przemyśleć raz jeszcze, popełnione błędy i zaniechania naprawić. A zatem nie wyzbyta nadziei bezczynność, lecz twórcze porządkowanie życia. Nieustanne potwierdzanie swej użyteczności dla siebie i innych. Dlatego nie tyle nieubłagana perspektywa, której nic nie jest w stanie unieważnić, stanowi największe zmartwienie poety, lecz chwilowe objawy twórczej niemocy.

> Nie mam na dzisiaj słów. Choć wstałem wcześnie
>
> poczułem się jakby intruz bez mowy,
>
> jakże przetrzymam niemy aż do nocy?
>
> Słaniam się na nogach, lecz się nie skarżę.

> Nie śmiem określić stanu mego zdrowia
>
> bo nie przystoi straszyć kogokolwiek,
>
> krzyżować czyichś planów, czy problemy
>
> stwarzać, już niepokoić od samego
>
> rana. Muszę odczekać trochę, może
>
> alarm przedwczesny, wszystko się wyjaśni.
>
> Nie trzeba budzić śpiących domowników
>
> słabości miną a ja się ośmieszę
>
> szukając pomocy, bo przecież żyję.
>
> („Alarm przedwczesny”)

A to jest najważniejsze. Bo skoro żyję – powiada poeta – wiele jeszcze mogę zrobić. „Dostrzegalny dokoła nieporządek / czeka na ład, manuskryptom potrzeba / pilnej selekcji, ostatniego szlifu”. Nie można kapitulować przedwcześnie. Dlatego w wierszu zacytowanym powyżej jest ważna rada, adresowana do

samego siebie, ale z pewnością także do innych, którym zdarzy się podobna przygoda.

> Jesteś komandorem swojego życia,
>
> zmierzasz po długim wojażu do portu;
>
> na wachcie trwaj do ostatniego gwizdka.

Apel ten poeta powtórzy w wierszu „Luksus”, który dla jasności eksplikacji warto przytoczyć w całości:

> Jaki to luksus rozmyślać o świcie
>
> w cieple posłania i roić marzenia
>
> o szansach oferowanych przez życie
>
> nadal obecne choć ograniczone
>
> liczbą lat oraz sił niedostatkiem.
>
> Z takich kontemplacji mogą być jeszcze jakieś

> korzyści, ważne sprostowania, cenne
>
> poprawki i znaczne przyczynki. Strzeżmy
>
> placówki do ostatniego tchu jak się
>
> w hardych piosenkach zarzekamy.

Przeświadczenie o słuszności takiej postawy podkreśla łacińska maksyma *dum spiro spero,* która wedle poety ciągle obowiązuje. Nade wszystko jednak wynika z najgłębszych przekonań autora o sensie użytecznego, skoncentrowanego nie tylko na sobie, lecz także zwróconego ku innym życiu. Chyba najpełniej przesłanie to wybrzmiało w opublikowanym przed laty, w tomie *Kopa wierszy,* „Zleceniu na zlot aniołów". Ma więc umocowanie najgłębsze, wynikające z fundamentalnego rozumienia sensu ludzkiej egzystencji.



Iwona Dufaj, Tree People – 32″ x 48″ plaster and oil on canvas.

W starości w sposób świadomy redukujemy świat tak skrzętnie kiedyś gromadzonych rzeczy, które – na przykład bezcenny księgozbiór – pragniemy przekazać w ręce „wierzących w swoją nieśmiertelność” – „Rozdaję”). A równocześnie – stwierdza poeta w tym samym wierszu – „w sztafecie leży gwarancja dłuższego trwania”, co jest podstawą ciągłości ludzkiego „dziedzictwa i tradycji”. Co znaczy: szczelinę po naszym odejściu zapełnić muszą i powinni inni.

Uświadomienie sobie tych prawideł i konieczności nie osłabia u poety pragnienia intensywności kontaktów ze światem. Wręcz przeciwnie: wzmaga je. Niezbędnym instrumentem staje się dlań komputer. „Ekran mojego monitora to sieć / zarzucona w cybernetyczne głębie / by złowić spolegliwe głosy bliźnich" („Ekran"). Pełni on równocześnie funkcję konfesjonału, któremu poeta zawierza swe najbardziej intymne przemyślenia i troski. „Już od rana rozsyłam swe meile na lewo i prawo chcąc się upewnić że kontakt działa" („Co robić?"). Pusta poczta jest oznaką osamotnienia, wręcz śmierci, a każdy list ze świata – nowym narodzeniem.

Florian Śmieja po wydaniu kilkunastu tomów poezji, po raz kolejny podejmuje próbę poetyckiego zapisania życia. W tomie tym nie stara się być rewelatorem formy, co znajduje uzasadnienie w jego dotychczasowej praktyce twórczej. „Nanizując paciorki słów – napisze w wierszu „Wątpliwości", który jak się zdaje zawiera istotę jego pisarskieg credo – notuję / drobne doświadczenia egzystencjalne". Nie poetycki kunszt przekazu jest tedy dla niego najważniejszy, lecz troska o jego zawartość:

> Czy nasyciłem te wersy substancją
>
> przekonywającą, skuteczną a nie

> pozorną i zupełnie przypadkową,
>
> głoszącą wybawienie, katastrofy
>
> unikając oraz wyobcowania,
>
> inteligentną zabawę, coś więcej
>
> niż kuglarstwo i zachcianka poety,
>
> którego mocno zawiodło natchnienie?

Wątpliwości poety nie są figurą stylistyczną. Czytając tom *Nanizując paciorki słów* mamy wszelkie dane by wierzyć, że wypływają one z najgłębszej troski o szczerość i autetyczność relacji ze światem, z innymi ludźmi, a także – może najbardziej – z sobą samym.

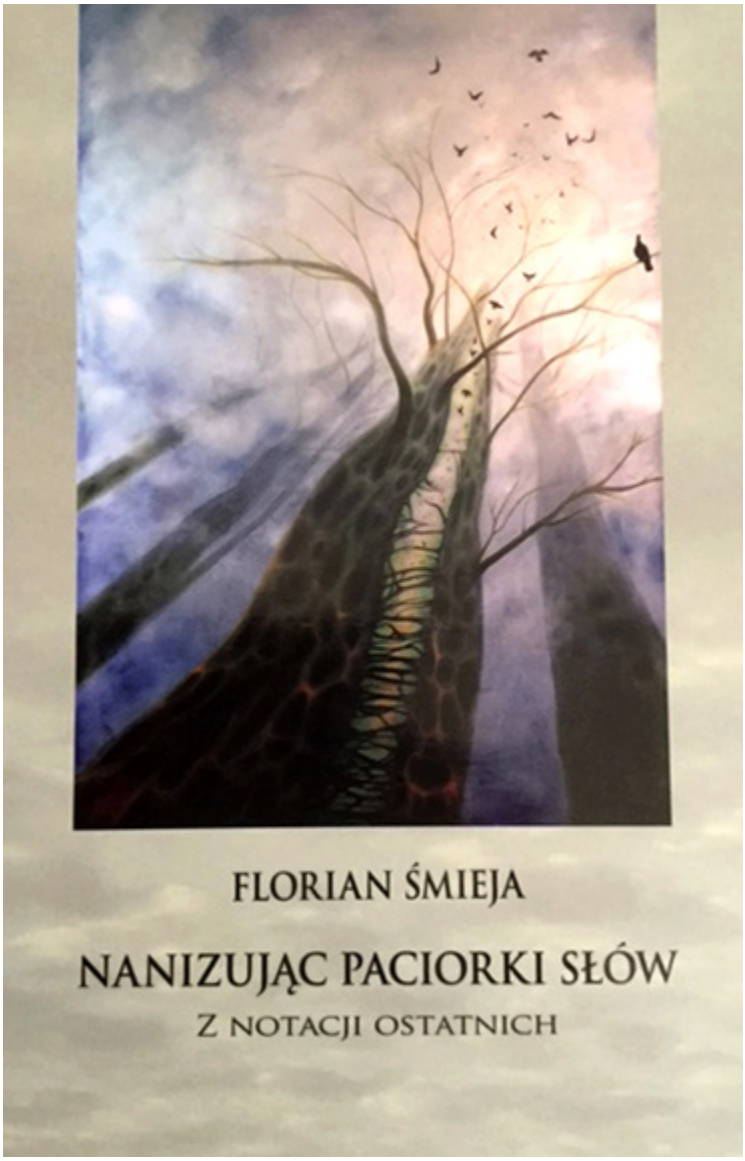

Pierwodruk: [w:] Florian Śmieja, *Nanizując paciorki słów. Z notacji ostatnich*, Toronto-Rzeszów 2018

Tomik „Nanizując paciorki słów” został zilustrowany obrazami Iwony Dufaj. O Iwonie Dufaj w magazynie „Culture Avenue”:

https://www.cultureave.com/surrealistyczne-malarstwo-iwony-dufaj/

Nasz człowiek w Houston

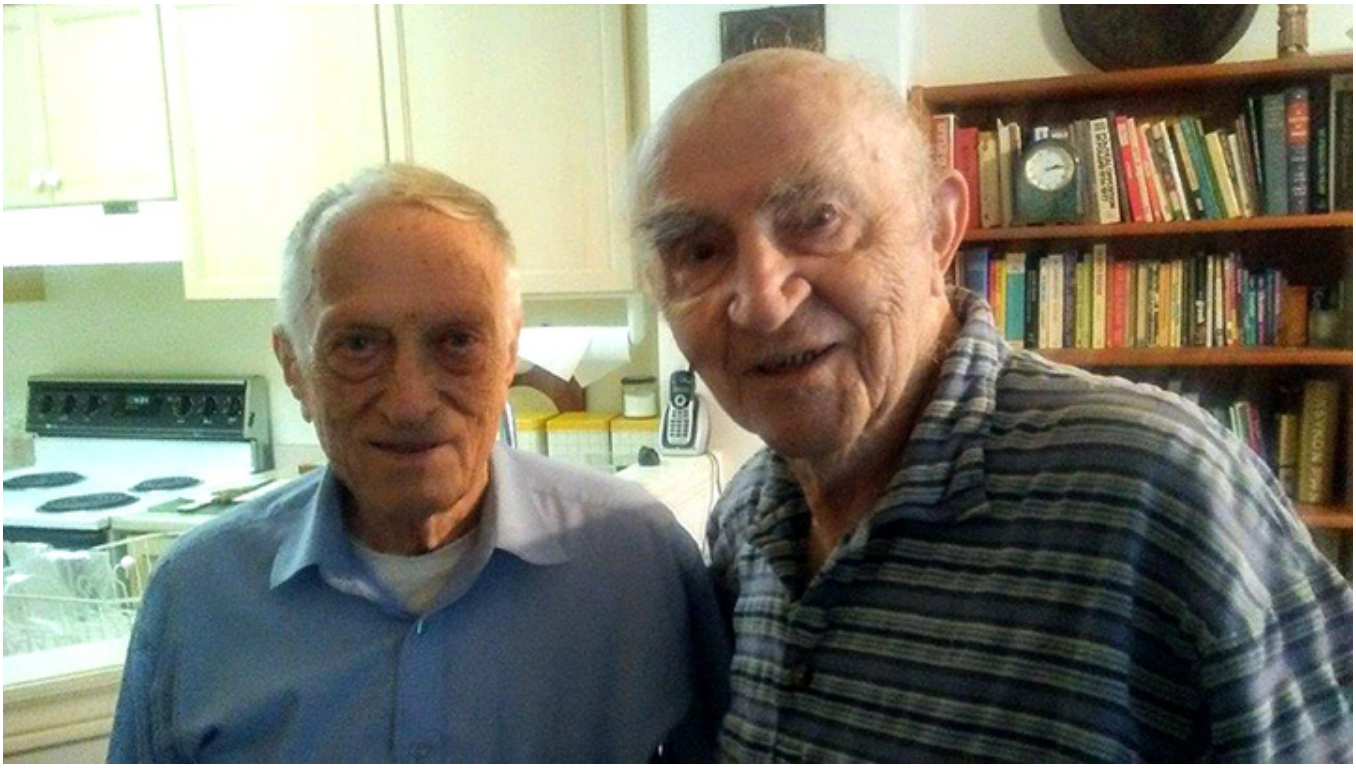

Od praweJ: Florian Śmieja i Janusz Ihnatowicz, Mississauga, lipiec 2019.

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Sądzę, że czas już najwyższy, by przypomnieć seniora poetów polskich w USA żyjącego od lat na Uniwersytecie św. Tomasza w Houston, księdza profesora Janusza Artura Ihnatowicza. Wprawdzie pisałem już o nim, a asumpt do ponownego zabrania głosu dała znakomita monografia, którą mu poświęcono w Rzeszowie.

Ihnatowicz urodził się w 1929 roku na peryferiach Wilna. Jako syn wojskowego znalazł się w 1939 roku w Częstochowie i do niej udało mu się cudem wrócić, kiedy ewakuowany przed wybuchem wojny na Wołyń, został tam zatrzymany przez władze sowieckie. W 1946 roku z rodziną przez Niemcy połączył się z

ojcem w Anglii.

Zapytany o wykształcenie odpowiada:

> W moją naukę wchodziły prywatne szkoły przed wojną, tajne komplety w czasie wojny, komunistyczne gimnazjum w powojennej Polsce i „reakcyjne” szkoły emigracji, aż bogobojnie skończyłem na katolickim uniwersytecie w Irlandii.

Ukończywszy studia humanistyczne w Dublinie, wyjechał do Kanady. Tam w 1951 roku założył w Toronto swoje gniazdo, ale go nie zagrzał, bo wyleciał wnet na migracyjne szlaki. Wybrał się do Polski i tam wstąpił do seminarium w Kielcach oraz studiował na Akademii Teologicznej w Warszawie. Na księdza został wyświęcony w 1962 roku, a po kilku latach wrócił do Kanady. W 1969 roku został zaangażowany jako wykładowca Patrologii i historii Kościoła na uniwersytecie św. Tomasza w Houston, gdzie pozostał aż do przejścia na emeryturę w 1997 roku.

Talent pisarski i zamiłowanie do studiów nie kazały długo czekać na obfity i różnoraki plon. Spod jego pióra zaczęły wychodzić utwory oryginalne i przekłady, poezja i proza, obrazki dramatyczne i listy. Pisał po polsku, ale także po angielsku. Przełożył psalmy z hebrajskiego, a dramat Zawieyskiego na język

angielski, był w składzie redakcji literackiej Biblii Tysiąclecia. Jerzy Sito już piędziesiąt lat temu zauważył, że wiersze Ihnatowicza charakteryzowało „głęboko ludzkie odczucie świata nacechowane przedwczesną mądrością". Piękną monografię habilitacyjną poświęciła mu dr Alicja Jakubowska-Ożóg („Poeta i świat", Rzeszów, 2009) i do niej odsyłam zainteresowanych kompetentną i drobiazgową analizą twórczości Ihnatowicza.

Mawia on skromnie o swoim warsztacie poetyckim, że wiersze piszą mu się same, przynajmniej tak powstają ich pierwsze pomysły, a potem następuje długa obróbka. O poezji natomiast powie poważnie, że „poezja to zakon, a nie łąka motyli." Wymaga od poety pogłębienia życia duchowego. W wywiadzie oświadczył, że „Twórczość każdego płynie jakoś z tego, czym jest, w co wierzy, co jest sensem jego życia". W kreacji artystycznej widzi zasadniczą rolę woli „Poezja nie powstaje jako wyraz uczuć, ale jako skutek intelektualnych poruszeń woli". Poeta natomiast musi mieć coś ważnego do powiedzenia. Formie nieco odpuszcza, a nawet kunsztowna wirtuozeria jest mu raczej podejrzana.

Ihnatowicz zaczął współpracować z „Tygodnikiem Powszechnym" oraz miesięcznikami „Więź" i „Znak" w Polsce , a na Zachodzie z „Kulturą", „Wiadomościami" i „Kontynentami", a później z „Oficyną Poetów". Jego debiut poetycki „Pejzaż z postaciami" ukazał się w Londynie w roku 1972, a rok poźniej w

Krakowie wyszły „Wiersze wybrane”. Tomik wierszy po angielsku „Displeasure” wyszedł w Londynie w 1975 roku, a w 1991 roku poeta wydał zbiór „Niewidomy z Betsaidy”. Wreszcie w 2004 roku w Rzeszowie opublikował „Epigramat o nadziei i inne wiersze”.

Czymś naturalnym okazało się jego zauroczenie Eliotem, który był bardzo obecny w myśleniu naszej grupy polskich poetow londyńskich. Pamiętam ostatnie lata życia Eliota, studenci Uniwersytetu Londyńskiego recytowali entuzjastycznie jego teksty, a tamtejsze teatry wystawiały sztuki cieszące się ogromnym powodzeniem. Ihnatowiczowi był on bliski poprzez religijne przekonania i wiarę w ocalającą rolę sztuki nie wstydzącej się biblijnych kontekstów. Zafascynowany przemijaniem zmaga się z enigmą czasu, bada go pod najróżniejszymi metaforami, by w końcu ze św. Augustynem „nic nie wiedzieć”, a urzeczony zjawiskiem muzyki gotów zgodzić się z Henrykiem Góreckim i Leszkiem Kołakowskim, że jest ona gościem z innego świata.

Choć, jak zauważyła dr Ożóg, poezja Ihnatowicza zazwyczaj przechodzi od zwyczajności do transcendencji, poeta nie zapomina o przeszłości. Tak mówi o Arkadii dzieciństwa:

> W naszym domu nie było mebli tylko przyczajone tygrysy
>
> pluszowe zwierzęta nadymane baloniki
>
> i można je było głaskać i czułeś jak pod pluszem
>
> drżą i mruczą ospałe koty o oczach z poduszek

wspomina czar domowych uroczystości, pysznie maluje uciechy stołu. We wspaniałym poemacie o Zmartwychwstaniu Pańskim, opisuje stół wielkanocny :

> a stół jak ogród
>
> kiełbasa jak senny wąż
>
> gałązeczki wypuszcza
>
> baby jak donice

ciemnych listków pełne

i baranek z chorągiewką

się pasie na głowie rzeżuchy

a wkoło widłak

o kosmatych palcach

i jajka tysiąc omamień

jajka ‘oczu oczarowania’

na alleluję

i załamane w karafce słońce

kwitnące wiśniami

Nic dziwnego, że wszyscy się radują

> i tata woła kurdesz
>
> i wujkowie łyskają spinkami
>
> i ciocie są jak bez

Odnoszę wrażenie, że to życie samo, autopsja i biografia kształtowały te wiersze, choć poeta bywa często także pod urokiem lektury. Jeśli zaś wiersze jego są istotnie raczej o świecie, a nie o autorze, to świadczą dobitnie o jego percepcji świata, który nas urzeka i życzymy sobie więcej takich tradycyjnych, staropolskich reminiscencji szczególnie, że żyjemy w kraju gdzie, słowami poety, sielskość jest wypierana przez egzotykę.

> W imieniu tolerancji i tym podobnych cnót
>
> przepędzono przez Gwiazdkę stado świętych krów
>
> stratowały żłóbek i anioły

> i został nam tylko renifer
>
> z czerwoną żaróweczką w nosie
>
> i przerosły krasnal
>
> ciągnący wór z zabawkami.

Dr Ożóg po solidnych studiach nad twórczością Ihnatowicza wyciąga dobrze umotywowane wnioski.

> Pozostaje poetą wymagającym, oferującym czytelnikowi nie proste poszerzanie jego wyobraźni czy docieranie wraz z autorem do tajemnic świata, ale przede wszystkim jego afirmację we wszystkich najbardziej zaskakujących odsłonach, w nadziei, że w ten sposób ukazuje wielkość stworzenia.

Sam autor tłumaczy prościej.

> Nie dane mi jest „wielkim głosem śpiewać”. Nie dano mi być prorokiem czy mędrcem, lecz igrcem, piewcą zwykłości.

> Piszę wiersze, by sprawić ludziom przyjemność (…) Jestem taki ’niespieszny przechodzień’, co patrzy na rzeczy mijane i opisuje.

Ihnatowicz odwiedził mnie kilka dni temu, godzi się by to spotkanie dziewięćdziesięciolatków uczcić tym skromnym wspomnieniem.

Pojemna delta



Florian Śmieja przez Szkołą Podstawową w Kończycach, do której uczęszczał.

Edward Zyman *(Toronto)*

Florian Śmieja, nestor polskich poetów w Kanadzie, tłumacz i badacz literatury hiszpańskiej i hispanoamerykańskiej, emerytowany profesor uniwersytetów angielskich i kanadyjskich, wykładający także w wielu uczelniach polskich, w jesieni swego życia imponuje niezwykłą aktywnością. Publikuje nowe tomy wierszy, esejów, szkiców i wspomnień, tłumaczy, jest obecny w krajowej prasie literackiej. Tylko w nowym tysiącleciu opublikował dwanaście książek, w tym obszerny, ponad czterysta stron liczący wybór poezji *Dotykanie świata* (2016) oraz blisko

dwustustronicowy tom wierszy nowych *Nanizując paciorki słów. Z notacji ostatnich* (2018). *Delta czasu* to szósty z kolei tom eseistycznej prozy, w której sędziwy pisarz podejmuje interesującą próbę odzyskiwania bogatej, obfitującej w *zbliżenia i kontakty* przeszłości.

> Jesteśmy – pisze w Przedsłowiu autor – świadkami zmierzchu głośnej emigracji wojennej. Wymierają ostatni jej przedstawiciele i wnet cała nasza wiedza na temat tego niezwykłego zjawiska politycznego i kulturalnego będzie pochodzić z drugiej ręki, od ludzi, którzy tej formacji i jej protagonistów nie znali. Wprawdzie pozostała ich twórczość i posiadamy wiele dokumentów dotyczących wybitnych emigrantów i ich współczesnych, ale nigdy nie za wiele jest opowieści i zapisków świadków.

Florian Śmieja jest świadkiem z wielu względów atrakcyjnym i wiarygodnym. W młodości współtworzył fenomen, jakim była londyńska grupa „Kontynentów", skupiająca pisarzy, których nazwiska w sposób trwały zapisały się w dziejach polskiej literaury współczesnej. Przede wszystkim poeta, ale także redaktor i współpracownik najważniejszych pism emigracyjnych („Wiadomości", „Oficyny Poetów", „Kultury", macierzystych „Kontynentów"), płodny publicysta, kronikarz ważnych wydarzeń kulturalnych polskiej diaspory, pracownik uniwersytecki i pełen

pasji poznawczej globtroter otwarty na nowe kultury i kolekcjonujący spotkania z ich ważnymi reprezentantami.

Bohaterów swej najnowszej książki – przede wszystkim ludzi pióra, choć nie tylko – profesor Śmieja poznał w Anglii, Francji, Niemczech, Hiszpanii, Meksyku, Kolumbii, Stanach Zjednoczonych, Wenezueli, Kanadzie i Polsce. Aby się spotkać z wieloma spośród nich organizował wnikliwie przygotowane wyprawy badawcze, przebywał imponujące przestrzenie podążając śladami bohaterów ich książek, a raz nawiązane kontakty pielęgnował wytrwałą, wieloletnią korespondencją, której pokaźne tomy trafiły niedawno do archiwum Instytutu Literatury Polskiej Uniwersytetu Rzeszowskiego.

Delta czasu nie przynosi wyczerpujących opisów monograficznych, jest raczej zbiorem lekkich, utrzymanych w konwencji felietonowej, żywo napisanych i miejscami błyskotliwych zapisków o twórcach, instytucjach i zdarzeniach, w różnym stopniu wpisanych w intelektualną i literacką biografię autora. W zależności od stopnia zażyłości i intensywności kontaktów (od ulotnych, okazyjnych spotkań po kilkudziesięcioletnie przyjaźnie) zapiski te są bardziej obszerne lub zgoła fragmentaryczne, lecz zawsze dla czytelnika, zwłaszcza krajowego, niezwykle zajmujące. Autor pisze często o sprawach mało znanych, poprzez interesująco, niekiedy dowcipnie uchwycony szczegół: gest, słowo, celną anegdotę –

przywracający głośnym postaciom kultury ich naturalny, chciałoby się rzec: ludzki wymiar. Z troską pochyla się nad dorobkiem piszących, którzy z różnych powodów nie znaleźli się w głównym nurcie zainteresowań badaczy polskiej literatury na obczyźnie (Wojciech Gniatczyński, Piotr Guzy, Beniamin Józef Jenne, Zygmunt Ławrynowicz, Wacław Liebert). Przedstawia w zwięzłej, lecz nasyconej faktografią formie zasłużone dla kultury polskiej instytucje emigracyjne (Polski Uniwersytet na Obczyźnie z jego znakomitą kadrą profesorską: Władysławem Folkierskim, Stanisławem Kościałkowskim, Stanisławem Kotem, Marianem Kukielem, Stanisławem Swianiewiczem, Władysławem Wielhorskim, londyński ośrodek wydawniczy Veritas, Oficynę Poetów i Malarzy Czesława i Krystyny Bednarczyków, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Fundację Turzańskich, Archiwum i Muzeum im. płk. Bolesława Orlińskiego). Większość z przekazywanych czytelnikom wrażeń, opinii, fragmentów listów i cytowanych wypowiedzi dotyczy ludzi, instytucji i zdarzeń znanych autorówi z autopsji. Pisarz staje się tym samym (nie stroniącym wprawdzie od subiektywizmu) kronikarzem, który daje nam relacje z pierwszej ręki.

Na kartach *Delty* pojawia się kilkaset znakomitych nazwisk polskich i obcych – pisarzy, muzyków, uczonych, dziennikarzy, polityków, animatorów życia kulturalnego, w tym wybitnych postaci polskiej diaspory, które już za życia obrosły legendą. Wymieńmy małą próbkę w porządku alfabetycznym: Gustaw

Arango, Bogumił Andrzejewski, Stanisław Barańczak, Jan Bielatowicz, Danuta Irena Bieńkowska, Zofia Bohdanowiczowa, Renata Bogdańska, Jan Brzękowski, Roy Campbell, Camilo Jose Cela, sir George Clutton – pierwszy ambasador Wielkiej Brytanii, który pobierał z sukcesem nauki polskiego u autora *Delty*, Marian Czuchnowski, Maria Danilewicz-Zielińska, Jan Darowski, Karl Dedecius – autor pierwszej antologii poezji polskiej, w której Florian Śmieja miał niebagatelny udział, Louis Dudek, Józef Garliński, Jerzy Giedroyc, Mieczysław Grydzewski, gen. Józef Haller, Marian Hemar, Benedykt Heydenkorn, Wacław Iwaniuk, Aleksander Janta-Połczyński, Tymoteusz Karpowicz, ks. Tadeusz Kirsche – kapelan Radia Wolna Europa, Józef Kisielewski – autor głośnej książki o słowiańskości wschodnich Niemiec *Ziemia gromadzi prochy*, Leszek Kołakowski, Jan Kowalik, Jan Leszcza (wł. Wiktor Londzin), Józef Łobodowski, Paweł Łysek, Jan Nowak, Zygmunt Nowakowski, Michael Ondaatje, Marian Pankowski, Jerzy Pierkiewicz, Aleksandra Piłsudska, Leopold Pobóg-Kielanowski, ks. Zdzisław Peszkowski, Elena Poniatowska, Juliusz Poniatowski, Alexander Porker, Robert D. F. Pring-Mill, Al Purdy, Bronisław Przyłuski, Czesław Straszewicz, Tadeusz Sułkowski, Tymon Terlecki, Wiktor Wientraub, Kazimierz Wierzyński, Edward M. Wilson, Józef Wittlin, Olga Żeromska.

Jestem przekonany, że nawet wytrawni czytelnicy eseistycznych publikacji „Odry” z niektórymi z tych nazwisk mogą mieć pewne problemy, by usytuować je we właściwym dla nich obszarze

artystycznej i intelektualnej aktywności. Nie może to dziwić, gdyż reprezentowane przez bohaterów książki spektrum zainteresowań, specjalności, talentów, dokonań i miejsc w sensie geograficznym jest prawdziwie imponujące.

Spędziwszy zdecydowaną większość życia na obczyźnie, Florian Śmieja nie zaniechał kontaktów z Polską. Bywał w niej także w okresie, w którym było to na emigracji niezwykle źle widziane. Jako pisarz miał świadomość, że kontaktów tych zerwać nie może. W wędrującej z nim po świecie – imponującej – domowej bibliotece znalazły się najważniejsze tomy polskiej poezji i prac krytycznoliterackich, roczniki periodyków, leksykony, obfita korespondencja z polskimi twórcami.

Podobnie jak w przypadku znamienitych postaci polskiej i światowej kultury, z którymi autor *Delty* zetknął się na obczyźnie, długa jest lista wybitnych przedstawicieli polskiego życia literacko-artystycznego i politycznego w kraju. Nie sposób przytoczyć w tym omówieniu nawet części ich nazwisk, ograniczmy się tedy do najbardziej charaktersytycznych przykładów. Tworzą je m. in. Beata Baczyńska, Jan Błoński, Ludwik Flaszen, Jan Goczoł, Jerzy Grotowski, Henryk Mikołaj Górecki, Zbigniew Herbert, Tadeusz Kijonka, Andrzej Kijowski, Stefan Kisielewski, Zygmunt Kubiak, Kazimierz Kutz, Stanisław Jerzy Lec, Adam Michnik, Wilhelm Szewczyk, Józef Musiał, Tadeusz Różewicz, Wojciech Siemion, Piotr Sawicki, Janusz

Szuber, Jerzy Turowicz, ks. Jan Twardowski, Jerzy Zawieyski,

Walorem *Delty* jest nie tylko różnorodność i obfitość postaci, instytucji i zdarzeń, lecz przede wszystkim sposób, w jaki autor o nich pisze. Jak wspomniałem wcześniej, Florian Śmieja jest świadkiem (i uczestnikiem), który nie stara się być za wszelką cenę obiektywnym. Choć w porównaniu z wcześniejszymi tomami swoich wspomnień, w *Delcie* powściąga swoje emocje, nie waha się przed subiektywną oceną zachowań, tekstów i decyzji swoich przyjaciół z „Kontynentów" (np. Czaykowskiego, którego na krótko przed śmiercią odwiedzi w Vancouver, odnotowując *Ziemioskłon*, ostatni tom tego wybitnego poety, z należną mu uwagą i życzliwością). Nie skrywa pod suknem kierowanych w swoim czasie pod adresem „młodych gniewnych" i ich pisma krytycznych uwag Jana Bielatowicza, ani też jego opinii na temat konstatacji krytycznych Marii Danilewicz-Zielińskiej, z którą nawiasem mówiąc łączyła autora *Delty* wieloletnia serdeczna i zażyła przyjaźń. Przypomina prowadzone przez siebie spory, m. in. z autorem niniejszego omówienia, z którym wadził się przed laty na łamach pism krajowych i emigracyjnych, krytycznie wypowiada się na temat – świetnej w moim przeświadczeniu – antologii polskiej poezji na obczyźnie Bogdana Czaykowskiego. Nade wszystko jednak relacjonuje swoje spotkania i intelektualne przygody z twórcami – ludźmi wielu kultur, których poznawał, najczęściej z własnej inicjatywy redaktora, pisarza i badacza.

Warto zatrzymać – na przykład – oko na fragmentach, w których autor *Delty* wspomina swe spotkania z recenzentem jego pracy doktorskiej prof. Robertem D. F. Pring-Mille'em, przyjacielem Polski, który chciał zrezygnować z angielskiej armii po tym, jak rząd Jego Królewskiej Mości uznał Komitet Lubelski, co wybitny szkocki uczony uznał za jawną zdradę ze strony aliantów. Na uwagę zasługują refleksje na temat postaci i twórczości jednego z czołowych poetów kanadyjskich – Alfreda Wellingtona Purdy'ego, podobnie jak ciepłe wspomnienie o interesującej, tragicznie zmarłej poetce Danucie Irenie Bieńkowskiej, czy o ks. Janie Twardowskim, który, choć opuścił przed laty ten najlepszy ze światów, zdaje się, jako w pełni osobny poeta, święcić coraz większe sukcesy.

Jedno ze słownikowych haseł delty mówi, że jest to *równinny obszar u ujścia rzeki*. Obszar życiodajny, bo stwarzający optymalne warunki dla ludzkiej egzystencji. *Delta czasu* byłaby zatem (i jest) metaforą owocnego, spełnionego, nasyconego soczystym miąższem zdarzeń i kontaktów życia.

> Chciałbym – pisze w zakończeniu swego tomu 93-letni autor – mieć nadzieję, że i ta „krucha książeczka", zawierająca moje zapiski czynione zazwyczaj o świcie, utrwali i przechowa „ślady światła", jakimi były dla mnie spotkania z frapującymi ludźmi i ich dokonaniami, a także z przejawami

> innych kultur, do których poznawania skłaniała mnie – wrodzona i zrozumiała najpierw u malca z prowincji, a później wieloletniego emigranta – ciekawość świata.

Utrwali i przechowa z pewnością.

Florian Śmieja: *Delta czasu*, Biblioteka Śląska, Katowice 2018, s. 202.

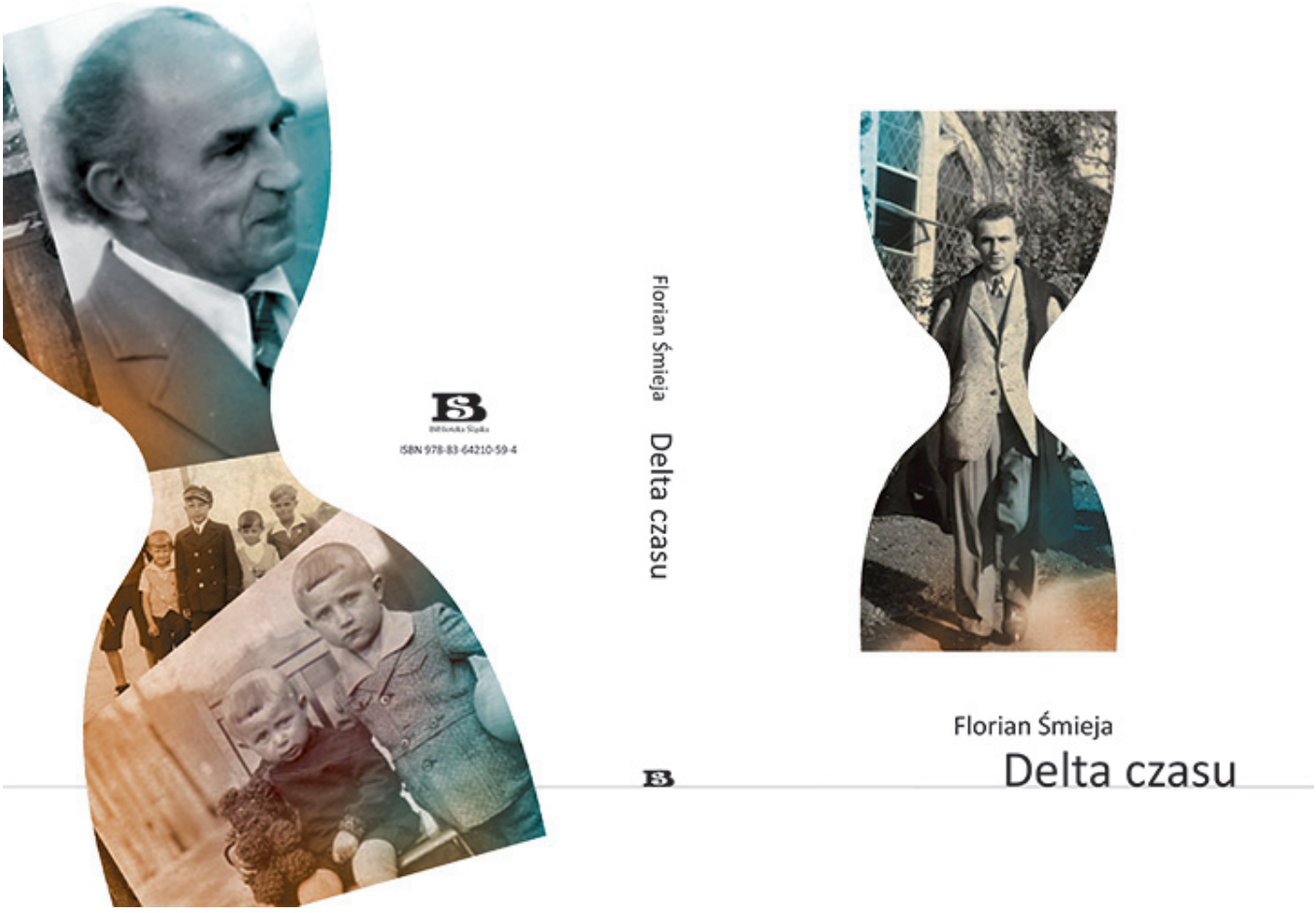

Artykuł ukazał się w „Odrze” 2019, nr 5.

Odeszli animatorzy życia kulturalnego z Toronto – Irena Harasimowicz-Zarzecka i Krzysztof

Zarzecki.



Wieczór autorski poświęcony Helenie Modrzejewskiej w Konsulacie Rzeczpospolitej Polskiej w Toronto, grudzień 2009 r. Od prawej: Irena Harasimowcz-Zarzecka, prof. Florian Śmieja, Jacek Gwizdka, Joanna Sokołowska-Gwizdka podpisująca swoją książkę, Margot Kukulska-Rumian.

Joanna Sokołowska-Gwizdka *(Austin, Teksas)*

Irena Harasimowicz-Zarzecka i Krzysztof Zarzecki byli znani w polskim środowisku każdemu, kto interesował się kulturą i

literaturą. Bywali na spotkaniach autorskch, koncertach, można było z nimi toczyć niekończące się rozmowy. Cudowni ludzie, twórczy, mający wspaniałą przeszłość. Krzysztof Zarzecki był pierwszą osobą ze środowiska kulturotwórczego Toronto, którą poznałam po przyjeździe na emigrację w 2001 r. Spotkaliśmy się w kawiarni sieci Chapters. Ten znakomity tłumacz był wówczas wiceprezesem Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie. Ja zostawiłam ciekawą pracę historyka literatury polskiej na Uniwersytecie Łódzkim i szukałam kontaktów z ludźmi, którzy byliby mi bliscy zwodowo. Długo rozmawialiśmy, o tekście mojej książki na temat rodziny Tyszkiewiczów, o pisaniu, warsztacie twórczym. Dostałam wiele cennych rad. A na koniec otrzymałam propozycję korzystania z dużej biblioteki Państwa Zarzeckich i książek dotyczących literatury w języku polskim. Wtedy było to dla mnie, jak zapowiedź normalnego życia na emigracji. Biblioteka byłą nieodzownym narzędziem pracy, a przecież nie mogłam przewieźć na raz wszystkich moich książek. – Bibliotekę gromadzi się długo – mówił Krzysztof Zarzecki – my przez lata uzbieraliśmy dużo książek.

Irena Harasimowicz-Zarzycka byłą uroczą panią, która było widać i słychać. Można było z nią godzinami rozmawiać i tematy się nie kończyły. – Musicie do nas wpaść – mówiła ilekroć się spotykaliśmy na imprezach kuturalnych – to dokończymy rozmowę. I ciepło dotykała dłoni, na znak przyjaźni.

Państwo Zarzeccy zdecydowali się na powrót do Polski w 2014 r. Ich odejście to duża strata dla polskiej kultury.

***

Irena Harasimowicz-Zarzecka



Irena Harasimowicz-Zarzecka, Konstancin 2016 r., fot. Hanna Haska.

Tłumaczka, eseistka, redaktor. Zmarła 28 kwietnia 2019 r. Została pochowana na Warszawskich Powązkach, w grobie rodzinnym Zarzeckich.

Córka prawników, wnuczka rzeźbiarza i pedagoga Piotra Harasimowicza (1857-1914), który wraz z bratem Marcelim (1859-1935), malarzem i kustoszem, należał do grona organizatorów szkolnictwa artystycznego, Galerii Narodowej i Związku Artystów Plastyków we Lwowie. Ukończyła studia i uzyskała w 1963 stopień doktora filologii rumuńskiej na uniwersytecie w Bukareszcie, na podstawie rozprawy o prozie rumuńskiej poświęconej tragedii tzw. zagubionego pokolenia intelektualistów uczestników pierwszej wojny światowej.

W 1964 roku przebywała w Londynie u ojca, który jako były oficer wywiadu AK nie mógł powrócić do Polski i był zatrudniony w Instytucie Sikorskiego oraz w Lozannie, gdzie studiowała w École Benedict. W latach 1965-67 pracowała w Dziale Prasowym, a później była szefem Protokołu Polskiej Akademii Nauk. W latach 1968-87 redaktorka, specjalistka do spraw literatury rumuńskiej w Państwowym Instytucie Wydawniczym. Tłumaczka języka rumuńskiego na wielu kongresach i konferencjach naukowych, literackich i artystycznych. Członek Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Od 1987 roku dzieliła czas między Toronto a Warszawę. Przełożyła na rumuński m. in. wiersze Tadeusza Różewicza (wydane z przedmową Ştefana Augustina Doinaşa), Wisławy Szymborskiej i Zbigniewa Herberta. Przełożyła z rumuńskiego m. in. wiersze Marina Sorescu „Punkt widzenia" (PIW 1970); tom aforystycznych powiastek filozoficznych Mateia Călinescu „Życie i opinie Zachariasza Lichtera" (PIW 1972); powieść Dany Dumitriu „Biesiada lichwiarza" (PIW 1975); powieść Mircea Eliadego Majtreyi, poprzedzoną esejem o jego twórczości literackiej (Czytelnik 1988); sztuki Dumitru Salomona. Opracowała i opatrzyła wstępem antologię współczesnych opowiadań rumuńskich „Śmierć Ipu" (PIW 1971). Jest autorką Antologii poezji rumuńskiej, w której zaprezentowała we własnym wyborze i w znacznej części we własnych przekładach twórczość 77 poetów okresu lat 1939-80, poprzedzając swój wybór obszernym esejem o poezji rumuńskiej dwudziestego wieku i opatrując go (we współpracy z mężem Krzysztofem Zarzeckim) wyczerpującymi notami o autorach (PIW 1989). O tomie tym pisał Jerzy Lisowski, redaktor naczelny „Twórczości" i autor trzytomowej „Antologii poezji francuskiej":

> To naprawdę znakomita antologia, duża porcja wspaniałej i nowej, innej, zaskakującej poezji.

Zygmunt Kubiak, znakomity eseista i tłumacz, podnosząc

„mistrzostwo przekładów“ Ireny Harasimowicz oraz jej „rolę głównej ambasadorki kultury polskiej w Rumunii i rumuńskiej w Polsce“, orzekł, że jej

> Antologia poezji rumuńskiej to jedna z naszych najważniejszych książek poetyckich.

Obok nagrody Fundacji Turzańskich (1993-1994), Irena Harasimowicz została uhonorowana jeszcze dwukrotnie: w 1990 nagrodą Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich przyznaną jednogłośnie przez jury pod przewodnictwem tegoż Zygmunta Kubiaka, które uznało jej Antologię za najlepszy przekład poetycki roku; oraz w 1999 nagrodą Stowarzyszenia Autorów ZAIKS za całokształt twórczości przekładowej. Autorka esejów m.in. o poezji Wisławy Szymborskiej, tekstu napisanego po przyznaniu jej nagrody Nobla; o obrazach nagradzanej na trzech kontynentach, wspaniałej malarki, do niedawna zamieszkałej w Toronto, Hanny Haski; oraz o poezji i prozie rumuńskiej pisarki i tłumaczki Flavii Cosmy, również mieszkanki Toronto.

Krzysztof Zarzecki, 31.05.2015

Krzysztof Zarzecki



Krzysztof Zarzecki, Obory 2016 r., fot. Hanna Haska.

Tłumacz, redaktor, wydawca. Zmarł 17 lipca 2019 r. Został pochowany na Warszawskich Powązkach, w grobie rodzinnym Zarzeckich.

Ur. 31 maja 1926 roku w Warszawie. Żołnierz AK, uczestnik

powstania warszawskiego w batalionie Baszta na Mokotowie, jeniec niemieckiego stalagu XB (Sandbostel). Maturę zdał na tajnych kompletach w Warszawie, po wojnie studiował germanistykę na Friedrich Wilhelms Universität w Bonn oraz polonistykę i anglistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Redaktor w „Czytelniku“ (1952-55), kierownik Redakcji Przekładów w „Iskrach“ (1955-63), kierownik Redakcji Anglosaskiej w Państwowym Instytucie Wydawniczym (1976-87). W latach 1963-65 stypendysta Fundacji Kościuszkowskiej, uczestnik Studium Pisarskiego (Writers‘ Workshop) Uniwersytetu Stanu Iowa. W latach 1965-76 lektor amerykańskiej angielszczyzny w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki. Członek ZLP od 1963 roku do jego rozwiązania, w 1983 r. pełnił w nim m. in. funkcje wiceprzewodniczącego Klubu Tłumaczy oraz sekretarza Sądu Koleżeńskiego Oddziału Warszawskiego. Członek Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich (1985-87 przewodniczący Sekcji Tłumaczy Literatury) i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Wiceprezes Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie.

W Toronto od 1987. Przełożył ponad trzydzieści pozycji z literatur anglosaskich, m. in. „Którzy upadają” Samuela Becketta, trylogię „USA” Johna Dos Passosa, „Sługę bożego” i „Ziemię tragiczną” Erskine’a Caldwella, „9 opowiadań” J. D. Salingera (wespół z Agnieszką Glinczanką), „Zatrzaśnij ostatnie drzwi”, „Muzykę dla kameleonów” i „Tamtą Gwiazdkę” Trumana

Capote, „Noc Iguany” Tennessee Williamsa, „Papierowego człowieka” Dashiella Hammetta, „Człowieka pogrzebanego” i „Lewe pieniądze” Rossa MacDonalda, „To, co najważniejsze” Avery’ego Cormana, „Kronikę rytą w kamieniu” i „Przyjęcie u Larry’ego” Carol Shields, „Miłość” Toni Morrison, „Klarę Callan” i „Cudzołóstwo” Richarda B. Wrighta, wiersze Irvinga Laytona oraz kilkunastu poetów rumuńskich w „Antologii poezji rumuńskiej” Ireny Harasimowicz-Zarzeckiej, sztuki dramaturgów kanadyjskich Carol Shields, Dave’a Carleya i Kristen Thomson. Autor trzech antologii: „26 współczesnych opowiadań amerykańskich” (wespół z Maximem Lieberem, 1963, 1973), „32 współczesne opowiadania amerykańskie” (1973) i „Opowiadania z Dzikiego Zachodu” (1974). Jego przeklad „Ciężkich pieniędzy”, trzeciego tomu trylogii „USA” Johna Dos Passosa, został nagrodzony przez Stowarzyszenie Tłumaczy Polskich jako najlepsze tłumaczenie roku 1990. Laureat nagrody Stowarzyszenia Autorów ZAIKS za całokształt dorobku przekładowego (1995) i Fundacji Wadysława i Nelli-Turzańskich (1993-1994). Wydawca polskich przekładów kilkudziesięciu tytułów najwybitniejszych pisarzy anglosaskich, od Szekspira i dramaturgów elżbietańskich, poprzez Jane Austen, Josepha Conrada i Jamesa Joyce‘a, po Samuela Becketta, Patricka White‘a i Josepha Hellera.

Materiał otrzymany dzięki uprzejmości pani Hanny Haski.

Opowiadanie Ewy Stachniak „Spacer nad Credit River” w tłumaczeniu Krzysztofa Zarzeckiego:

https://www.cultureave.com/spacer-nad-credit-river-czesc-1/

https://www.cultureave.com/spacer-nad-credit-river-czesc-2/

Spacer nad Credit River. Część 2.

Ewa Stachniak *(Toronto)*

Tłumaczenie: Krzysztof Zarzecki



Fot. Jacek Gwizdka.

Schodząc z naszego domu do Credit River trzeba przejść koło małego jeziorka. Gdyśmy się tu wprowadzali, jeziorko było dwa razy większe, ale z każdym rokiem pomniejsza je gromadzący się u brzegów muł i z upływem czasu brzegi zarosła kwiecista fioletowa krwawnica, tłamsząc inną wegetację. Jednakże kiedy szłyśmy tamtędy z mamą owego lipca, widziało się jeszcze kwiaty dzikiej marchwi i nawłoci, a między nimi tylko niewielkie wysepki fioletu.

Ojciec umarł przed siedmioma miesiącami i niepokoiłam się wciąż o mamę. Sprawiała czasami wrażenie zagubionej, jakby mózg jej się kurczył i obluzowywał, niczym orzech wysychający

w łupinie. Przez większość czasu nie dostrzegało się nic, aż nagle jakaś drobna rzecz wprawiała ją w panikę, na przykład niemożność przypomnienia sobie, gdzie zostawiła okulary. Mogła z tobą rozmawiać i raptem się zrywała, biegła do swojego pokoju, sprawdzić, czy ma w torebce okulary albo gdzie schowała klucze do swego warszawskiego mieszkania. Zdarzało jej się to dwa, trzy razy w ciągu godziny, tak jakby żadna z poprzednich kontroli nie była wystarczająca.

Mama szła szybko, tuż koło mego boku. Kącikiem oka widziałam jej lekko zgiętą postać, rwącą do przodu. Raptem się zatrzymała, żeby zrobić głęboki wdech, jakby pijąc powietrze, łykając każdy jego haust i wydychając go z długim westchnieniem. Linie na jej policzkach się pogłębiły. Schudła, dłonie zrobiły jej się kościste, ostre. Rano spała długo, śniadania przygotowywałam jej obfite, z zupą mleczną, wędliną, jajecznicą. Myłam i krajałam rzodkiewki, paprykę, dymkę. Jadła zachłannie, po czym upierała się przy ręcznym zmywaniu, żeby nie zużywać zbyt wiele wody.

– Jak tu spokojnie – mówiła – tak cicho.

Uważałam, że to dobry znak, że wszystko jeszcze przed nami.

Pogrzeb, o którym mama mówiła, nie był to pogrzeb ojca. Miała na myśli pogrzeb swego starszego brata, Tadka, który umarł w 1955 roku. Miał trzydzieści cztery lata i zginął w wypadku

motocyklowym. Nikt wówczas nie nosił kasków; było mokro; usiłował wyminąć rowerzystę. Jego pasażer i rowerzysta wyszli z wypadku bez szwanku, Tadek żył jeszcze tylko kilka godzin.

– Umarł nie odzyskawszy przytomności – powiedziała mama.

Pamiętam wujka mętnie i tylko dlatego, że mi go przypominano. Kiedy umarł miałam trzy lata. "Nie pamiętasz? – dziwiła się babcia załamującym głosem.- Nie pamiętasz, jak cię lubił? Nazywał cię K ę d z i o r e k" – i wkrótce zaczynało mi się wydawać, że go pamiętam. Gdzieś wśród papierów mam do dziś czarno-białą fotografię wujka Tadka w trumnie, w czarnym garniturze, z twarzą na zdjęciu nieostrą, lecz surową. Przez jego prawą skroń przebiega cienka, popszarpana linia, blizna.

Byłyśmy nad morzem, gdy to się wydarzyło. Na wakacjach. Rano kopałam dołki w miękkim, mokrym piasku na skraju plaży, okładałam je muszlami i czekałam, aż fale Bałtyku wypełnią je słoną wodą. Po południu siedziałam w zatłoczonym pociągu, między mamą a babcią, obiema z bladymi twarzami, trzęsącymi się rękami. Na wszystkie pytania słyszałam upomnienia, żebym, na miłość Boską, cicho siedziała. Wiele lat później mama mi powiedziała, że nie wiedziały wówczas, co się właściwie stało. Kiedyśmy przyszły z plaży, czekał na nas w domu telegram od dziadka: "Syn nie żyje stop wracajcie natychmaist stop".

W roku śmierci Tadka na naszej ulicy straszyły jeszcze ruiny, wielkie kupy gruzu, porosłe trawą, łopianem, kępkami kłujących ostów. Po zakończeniu wojny ojciec wygrzebał spośród ruin dwa skórzane fotele, białe żelazne łóżko, dębowe biurko, parę pogiętych garnków. Pokleił nóżki foteli, wyprostował garnki, w okna wprawił grube metalowe pręty.

– Byłaś wtedy takim grzecznym dzieckiem – mówiła mama. – Potrafiłaś się godzinami bawić sama. Nigdy się nie dąsałaś ani nie płakałaś. – Przypominała, jak siedziałam przeglądając grube białe kartki przedwojennej encyklopedii, która stała na półce; szczególnie interesowały mnie plansze przedstawiające części ciała ludzkiego, każda chroniona cienką mleczną bibułką. – Mogłaś się w nie wpatrywać bez końca – ciągnęła mama, a ja zachodziłam w głowę, co mogło mnie w nich tak fascynować. Zwoje mięśni, żył i arterii czy też surowa prostota kośćca? – Przez jakiś czas myślałam, że zostaniesz lekarką – powiedziała mama z nutką rozczarowania w głosie, którą starała się stłumić. – Mniejsza o to – zakończyła i machnęła ręką.

Wszystko, co pamiętam z tego okresu, to babcię z nabiegłymi krwią oczyma, wargami zaciśniętymi w grymas bólu, śladami zębów na kostkach dłoni. Chodziła w czarnej sukni i czarnych pończochach, wychodząc nakładała czarny kapelusz z woalką. Wieczorami przesiadywała w mroczniejącej kuchni, wolno obracając pierścionki na palcach. Potrafiła tak siedzieć

godzinami, wpatrzona w szarzejące okno, szkielet domu naprzeciwko, z kikutami ścian i pustymi ramami okien. Kiedy zapalałam światło, mierzyła mnie takim wzrokiem, jakby ujrzała ducha.

– Wypłakiwałam sobie oczy po śmierci Tadka – powiedziała mama. – Teraz już nie potrafię płakać. Nawet po moim mężu.

Z warg ocierałam jeszcze ze wstrętem lepkie nitki przędzy, chociaż wyszłyśmy już na otwartą przestrzeń nad rzeką, gdzie już ich nie było.

– Tak ci powiedziała? – zapytałam. – Babcia ci tak powiedziała?

Czułam wzbierający gniew, który mi podchodził pod gardło.

– Tak – odparła mama. – Zaraz po pogrzebie powiedziała: "Wolałabym, żebyś to ty zginęła zamiast niego".

– A coś ty jej odpowiedziała? – spytałam.

– Nic – odrzekła mama przyśpieszając kroku.

Na policzki i szyję wystąpiły jej plamy, czerwone, nabiegłe krwią. Kiedy się z nią zrównałam, nie patrzyła na mnie, jej oczy biegały na boki, na drzewa, na rzekę. Wszędzie, tylko nie na moją twarz.

Ale ja nie miałam zamiaru ustąpić.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś?

– Kochała go bardziej – wyznała wtedy. – Był jej synem. – Ważyła każde słowo wypowiadając je, jakby nim zdumiona, ogłuszona. – Tego nie można odmienić.

***

Kiedyś próbowałam opowiedzieć Patrickowi o moim pierwszym dniu w Kanadzie. Leżeliśmy w łóżku, przywarci do siebie, zlani potem, nasze serca dudniły krwią. Przebiegałam palcami po włosach na jego piersi, robiłam w nich małe korytarzyki, potem je wygładzałam. Łóżko było skotłowane, skrzypiało lekko za każdym naszym poruszeniem. Zrobiłam głęboki wdech, usiadłam, z poduszką pod plecami, i powiedziałam mu, jak wszystko w Kanadzie, nawet śmieci w pojemnikach, wydawało mi się niewiarygodnie kolorowe i jak się włóczyłam godzinami po ulicach, gapiąc się na wystawy, chora z zazdrości.

– To wspaniałe! – pochwalił ze śmiechem, tak jakbym powiedziała coś szczególnie inteligentnego, utrafiła w jakieś sedno, o którym nie miałam pojęcia. – Tak być powinno!

Twarz Patricka wyglądała śmiesznie na łóżku, odwrócona, z

uśmiechem zakrzywionym w dół, oczami przymkniętymi od góry. Przesunęłam palcami po jego wargach, pociągnęłam go za wąsy, a on chłapnął zębami, ale nie dość szybko, żeby złapać moje palce. Roześmiał się. Śmieliśmy się oboje. Potem się obrócił, pociągnął mnie za nogi, tak że zjechałam z poduszki, wylądowałam obok niego i czekałam, aż rozsunie mi językiem zęby. Ramiona miał silne, gładkie, pachnące mydłem.

Opowiadania Patricka nie płynęły gładko. "Nie mam gadanego" – mawiał i ustawał akurat w miejscu, gdzie jego opowieść zaczynała się stawać ciekawa. Zrobiłam się mistrzem delikatnych ponagleń, słów obracających się w pieszczotę.

Patrick miał osiemnaście lat, kiedy komisja poborowa w San Francisco wezwała go na badania lekarskie. "Jak człowiek przeszedł, to był ugotowany!" – oświadczył unosząc lekko podbródek, wygładzając wierzchem dłoni rudawą bródkę. Opowiedział mi o wezwanych, którzy zażywali proszki na pobudzenie tarczycy, objadali się cukrem i symulowali cukrzyków. Opowiedział o pewnym facecie, który się przebrał za kobietę i rzucił do całowania sierżanta z komisji. Próbowałam sobie wyobrazić Patricka jako amerykańskiego hippisa w rozkloszowanych spodniach, etaminowym wdzianku, ze skórzanym naszyjnikiem z paciorków i białych kłów, kroczącego w marszu protestacyjnym.

Kiedy otrzymał powołanie, ojciec dał mu samochód, wręczył dwadzieścia tysięcy dolarów i kazał uciekać na północ. Wyobraziłam sobie, jak jedzie swoim żółtym Volkswagenem garbusem do Kanady, z długimi włosami, z czerwoną chustą na szyi. Wizę stałego pobytu otrzymał od razu na granicy. Jadąc ściskał kierownicę tak mocno, że go jeszcze długo potem bolały dłonie, ale nie uważał, że zdradza swoją ojczyznę.

"Nie chcę wracać do kraju w trumnie – rozumował. – Nie będę umierał za imperialistycznego molocha ani palił jakichś pieprzonych nędzarzy napalmem".

Był wówczas marksistą. W pokoju miał afisz z podobizną Mao, palił haszysz i podziwiał chińską Czerwoną Gwardię.

– Czerwoną Gwardię? – zapytałam. – Podziwiałeś Czerwoną Gwardię?

– Uważałem, że świat trzeba zmieniać… – zaczął i urwał.

– Przez zabijanie nauczycieli, zsyłanie ludzi na reedukację do obozów pracy? – zapytałam wciąż nie dowierzając własnym uszom.

W Polsce wiedzieliśmy, że jest nam źle, ale nawet w najgorszych okresach, kiedy w sklepach był tylko ocet i groszek w puszkach,

nigdy nie zamienilibyśmy się z Chińczykami.

– W tamtych czasach bym ci powiedział, że gwardia narodowa strzela do protestujących studentów na unwersytecie w Kent.

– A teraz? – zapytałam.

– Teraz bym powiedział, że byłem idiotą, zaślepionym idiotą – odparł, a ja czułam jedynie, jak jego język sunie po mojej szyi, pozostawiając wilgotny ślad.

Patrick był uprzednio żonaty i ma dwie córki, Daisy i Heather, dziewiętnasto- i szesnastoletnią. Daisy została właśnie przyjęta na Uniwersytet Trent, ale odmówiła uczęszczania na jakiekolwiek kursy biznesowe. Postanowiła zamiast tego iść na studium zagadnień kobiecych. Gdyby miał ponownie dzieci, mówił Patrick, wychowałby je w żelaznej dyscyplinie, posyłał do najlepszych prywatnych szkół w kraju. Nigdy więcej tych permisywnych psychedelicznych pierdołów, którym tak długo hołdował.

Czemu, zapytałam go kiedyś, gdy właśnie od nich wrócił i chodził tam i z powrotem po pokoju, zatrzymując się tylko, żeby wyjrzeć przez okno. Działało mi na nerwy to jego wyglądanie, jakby oczekiwał czyjegoś nadejścia, nadejścia osoby, której nawet nie znam.

– Żeby im dać szansę w życiu – odparł. Usiadł wreszcie, wyciągnął nogi na tapczanie. – Żeby nie były takimi ofiarami. Umiały się bronić. Świat się kurczy, a one marnują czas.

Na skarpetach miał drobne supełki zmechacenia, zanotowałam sobie w pamięci, żeby je wyrzucić.

– To moja wina – powiedział uderzając pięścią w dłoń, co też już nie raz widziałam. -Powinienem je był trzymać twardą ręką.

Westchnęłam i wyszłam do kuchni, kończyć obiad. Patrick przyszedł za mną. Był zawsze taki po widzeniu z córkami, drażliwy, poirytowany. Zdumiewało mnie nieodmiennie, jak jawnie maluje się to na jego twarzy, jak zwęża i zagina się jego górna warga, jak ściągają i rozszerzają się tuż pod skórą naczyńka krwionośne.

Ułamał kawałek bagietki, którą właśnie przyniosłam ze sklepu. Była jeczcze ciepła, okruszki sypały się po całej podłodze. Jadł za dużo, pod białą koszulą widziałam jego zaokrąglający się brzuszek. Kotlety były gotowe, wszystko, co mi pozostało, to rozetrzeć kartofle na purée w mikserze. Kiedy skończyłam, Patrick starł palcem z jej krawędzi puszystą białą masę i oblizał palec do czysta.

***

Erindale Park stanowił tego lata schronienie przed falą upałów; dało się tu wciąż swobodnie oddychać, spacerować nie zalewając się potem. Po rzece brodzili rybacy w długich zielonych gumiakach. Łowili teraz pstrągi. Na jesieni mieli wyciągać wielkie zielonkawe łososie, które płynęły pod prąd składać ikrę. Pod koniec października brzeg będzie usłany ich gnijącymi zewłokami, odciętymi łbami o rozdziawionych szczękach i wyłupiastych, martwo ślepiących oczach.

Mam wiele fotografii babci. W młodości była elegancką kobietą. Na jednym ze zdjęć siedzi na ławce, z nogą na nodze, z dłońmi splecionymi na kolanie. W tle landszaft z drzewem i rzymskimi ruinami, kolumną przeciętą w połowie, zakrzywionym portalem u dołu. W latach 1930 taka sceneria uważana była widać za romantyczną. Twarz babci okalają ciemne loki, jej oczy były już wówczas puste, melancholijne, zranione. Na rok przed śmiercią obcięła krótko włosy, zaczęła nosić długie kalesony, spodnie, pantofle na płaskim obcasie. W ciężkim, podbitym futrem palcie wyglądała jak żołnierz maruder.

W sercu nosiłam gniew na babcię. Miałam jej za złe wiele rzeczy. Szepty w kuchni, sposób, w jaki mi wykręcała rękę.

– Miejsce matki jest w domu, a nie w tym jej i n s t y t u c i e. – Wymawiała to słowo jak obelgę, ostro, z naganą, głośniej niż inne. – Zadzwoń do niej – żądała – zobaczymy, czy rzeczywiście

tam jest.

– Dlaczego?

– Dzwoń. Rób, co mówię! – syczała, a ja nakręcałam numer instytutu i prosiłam telefonistkę, żeby mnie połączyła z mamą.

– Co takiego? — Głos mamy był w pierwszej chwili zawsze wystraszony.—Stało się coś?

– Nie, nic takiego – mówiłam.

Widziałam ją, jak stoi w swojej małej pracowni z zapachem formaliny i kurzu, prawą dłonią trzymając się za to miejsce nad sercem.

– Zapytaj ją, kiedy wróci – przynaglała babcia trącając mnie łokciem.- Zapytaj własnej matki, kiedy wróci do domu, do rodziny.

– Kiedy wrócisz? – pytałam potulnie.

– Niedługo – odpowiadała mama, roztargniona teraz, pochłonięta już czym innym. Nasz telefon był czarny, słuchawka ciężka. Głos dobywał się z niej zniekształcony, jak z głębokiej, wąskiej studni. – Nie czekajcie na mnie z obiadem. Zaczynajcie jeść sami.

– Co powiedziała? – dopytywała się babcia. – Co powiedziała?

– Żeby na nią nie czekać z obiadem – odpowiadałam i uciekałam.

Ale nie mogłam nie słyszeć głębokich westchnień babci i zbyt głośnego brzęku talerzy, których omal nie rozbijała. Co do taty zaś, to zbywał milczeniem zatrute strzały, jakie wysyłała babcia.

– Miejsce żony jest w domu – obwieszczała przy stole – a rzeczą męża jest tego dopilnować.

Tata kiwał głową i podnosił do ust łyżkę z zupą.

– Wyśmienita zupa, mamo – mówił. – Co za smak.

– Robię, co mogę, ale są granice. W sklepach pustki – burczała babcia i przenosiła uwagę na mnie. – Nie mlaskaj. Siedź prosto. Łokcie ze stołu.

– Słuchaj babci – wtórował tato, a ja mu posyłałam wściekłe spojrzenie.

Kiedy mama wreszcie wracała, zjadała co babcia postawiła przed nią na talerzu, po czym ucinała swoją drzemkę. To jej sekret, powtarzała zawsze, ta jej zdolność zasypiania o każdej porze dnia, we wszystkich okolicznościach. Kiedy nadchodziła pora,

żeby ją obudzić, otrząsała się ze snu z trudem, jakby powracała z drugiego końca świata, twarz miała pomiętą i czerwoną, toczyła wzrokiem dokoła pokoju, próbując zrozumieć, gdzie jest i co to wszystko znaczy. Siadała, rozcierała twarz dłońmi, po czym szła do kuchni pomagać babci. Słyszałam znad odrabianych lekcji ich wznoszące się i opadające głosy. Długie monologi babci i krótkie przytakujące mruknięcia mamy.

– Zawsze jej przytakiwałaś – wypaliłam, kiedy mama się schyliła po jakiś odłamek skalny.

Przed zakrętem rzeki było odsłonięte zbocze skalne. Tablica ostrzegała: "Uwaga! Spadające kamienie!" Mama oddzieliła płaską warstwę łupka, przełamała ją w pół. Pokrywały ją długie linearne wzory.

– Nic szczególnego – powiedziała odsuwając łupek dalej od oczu. – Cefalopody i korale. – Kamień powrócił na usypisko. – Może nie powinnam ci była tego mówić – odezwała się po chwili. – Nie chciałabym, żebyś tak pamiętała babcię.

– A jaką chcesz, żebym ją pamiętała? – zapytałam głosem zbyt wysokim, zbyt napiętym, żeby tego nie usłyszała.

Mama się zatrzymała i stała, jak mi się wydawało, zbyt długą chwilę. Przestraszyłam się, że zapomniała, co mi ma powiedzieć,

ale się myliłam.

– Chcę, żebyś pamiętała, że bez jej pomocy nigdy bym sobie nie dała rady – powiedziała. -Nigdy bym nie była w stanie połączyć pracy i rodziny. Nigdy. – Po czym, ruszając do przodu, obróciła się do mnie i szepnęła: – A nigdy naprawdę nie pragnęłam niczego innego.

Nim doszłyśmy do zakrętu rzeki, mama zwolniła kroku, więc zaproponowałam, żebyśmy wracały. W domu mama ucięła sobie popołudniową drzemkę, a ja usiadłam w kuchni i oglądałam dziennik na małym telewizorku. Konflikt w miasteczku Oka się zaostrzył. Drogi do cmentarza Indian Mohawk w Kanestake zostały zablokowane, padły strzały. Na ekranie widziałam czołgi i żołnierzy w mundurach khaki ustawiających się w szyk bojowy. Potem kamera przesunęła się na grupkę Indian w koszulkach i dżinsach z obciętymi nogawkami, którzy bili w bębny i śpiewali.

– Koszt ogólny konfrontacji w Oka wyniesie wkrótce ponad dwieście milionów dolarów – powiedział później ktoś w wywiadzie telewizyjnym. – Przekracza to znacznie wartość rynkową terenów, do których Mohawkowie roszczą sobie pretensje, a które miasto chce przeznaczyć na tor golfowy.

Minęła może godzina, gdy mama wyłoniła się ze swego pokoju z wyrazem popłochu na twarzy.

– Znalazłam to w swoich rzeczach – oznajmiła wręczając mi czerwoną chustę. – Ty ją tam położyłaś?

– Dałam ci ją – odparłam. – Nie pamiętasz?

– A, rzeczywiście, dałaś – powiedziała trochę za szybko. Zmarszczyła czoło i zdawało mi się, że widzę w jej oczach łzy. – Jaka ja niemądra! Oczywiście, że mi dałaś!

Wieczorem byłyśmy obie w kuchni, przygotowując obiad. Ja właśnie zbiłam sześć kawałków wieprzowiny na kotlety, a mama wcierała czosnek i majeranek w różowe mięso, kiedy kącikiem oka dostrzegłam w ramie drzwi Patricka, rudawość jego brody i jego wysoką muskularną sylwetkę. Miał na sobie koszulkę i dżinsowe szorty, w jednej ręce trzymał trzy kieliszki, w drugiej butelkę merlota. Otworzył butelkę, nalał do swojego kieliszka odrobinę wina i przed spróbowaniem podniósł go do światła, podziwiając rubinową barwę trunku. Widziałam, jak kiwa kilkakrotnie głową z uznaniem, nim podniósł kieliszek do ust.

– O czym, panie, tak rozprawiacie przez cały dzień? – spytał.

Mama posłała mi pytające spojrzenie, więc jej przetłumaczyłam.

– O niczym, kochany – odparłam. – Mama opowiada mi różne stare historie.

– To świetnie.

Patrick ma miły głos, kiedy chce się przypodobać. Gładki, miękki, słodki jak miód. Głos podobał mi się w nim od początku, kiedy jeszcze musiałam z niego wyciągać opowieści, historyjki z okresu jego kalifornijskiego dzieciństwa, wszystko, co pamiętał. Jak to było, kochać się w wielkich amerykańskich krążownikach szos nad brzegiem oceanu? Migdalić się, iść na całość?

– Fiu! – odpowiadał ze śmiechem. – Chcesz spróbować?

Mama siekała teraz cebulę w maleńkie, doskonale równe, mięsiste kostki. Zapaliła świece, żeby oczy nie łzawiły jej od zapachu cebuli.

– Obawiałem się, że rozmawiacie o mnie – powiedział nalewając wino do trzech kieliszków. Podał je nam, po czym zapytał: – Czy wszystko w porządku?

Obróciwszy się zobaczyłam, że mama ma wzrok utkwiony w twarz Patricka, w jego lekko wyłupiaste oczy, w czerwonawe fałdki skóry pod nimi. Kręciła głową, jakby coś było niezupełnie w porządku, ale ona nie może, jak na razie, zdecydować, co to takiego. Pamiętam, że doznałam potem uczucia nieokreślonej satysfakcji, gdy dostrzegłam, jak mama marszczy czoło.

– Więc za zdrowie pięknych pań! – powiedział Patrick unosząc z niepewnym uśmieszkiem kieliszek. – Za to się pije w Polsce, prawda? I diablo słusznie!



Ewa Stachniak, fot. Mark Reynes Roberts

Pierwsza część opowiadania:

https://www.cultureave.com/spacer-nad-credit-river-czesc-1/

Opowiadanie ukazało się w „Odrze”.

Spacer nad Credit River. Część 1.

Ewa Stachniak *(Toronto)*

Tłumaczenie: Krzysztof Zarzecki



Fot. Jacek Gwizdka.

– Tuż po pogrzebie – głos mamy brzmiał, jakby mówiła o rzeczy zwyczajnej, wręcz błahej – twoja babcia powiedziała: “Wolałabym, żebyś to ty zginęła zamiast niego”.

Schodziłyśmy z mamą wąską, wijącą się ścieżką do Erindale Park. Mama właśnie przyjechała z Polski, miała pobyć z nami dwa, trzy miesiące, ostatnia tak daleka i długa podróż jej życia. Do naszych policzków i ust lepiły się niewidzialne pajęczyny, na cienkich nitkach zwisających z drzew kołysały się małe żółtawe gąsienice. Nigdy nie widziałam ich tyle. Machałam przed sobą ręką, jakbym odganiała komary, ale niewiele to pomagało. Mama przewiązała sobie usta i nos czerwoną chustką, którą jej dałam. Wyglądała jak zamaskowany Indianin z dziennika telewizyjnego, jeden z tych wojowników ze szczepu Mohawk, którzy blokowali drogę do miasteczka Oka w Quebecu.

Wtedy łudziłam się jeszcze, że jesteśmy z Patrickiem szczęśliwi. Budziłam się rano z uczuciem uniesienia, które mnie nie opuszczało przez cały dzień. Wieczorami zapalałam świece i podawałam obiad na miśnieńskiej porcelanie, którą przywieźliśmy z Europy. Patrick otwierał butelkę naszego najlepszego merlota, który mama piła drobnymi, nieuważnymi łyczkami, jakby to była woda. Od pierwszego dnia jej pobytu, gdy oczy kleiły jej się jeszcze po zmianie czasu, snułam plany czekających nas wycieczek. Pokażę jej wszystko, co warte zobaczenia, obiecywałam, a później wynajmiemy domek nad

Georgian Bay i będziemy się wszyscy razem cieszyli kolorami jesieni.

– Czy to nie za kosztowne? – zapytała zaciskając wargi w wąską, cienką linię i rzucając mi niespokojne spojrzenie.

– Czy to ważne? – odparłam. – Możemy sobie na to pozwolić.

W tym czasie Patrick nosił jeszcze brodę, gęstą, rudawą, zgrabnie przystrzyżoną, jej włoski sprężynowały pod moim dotykiem, powracały do pierwotnego kształtu jak gąbka. Poczułam, jak jego stopa przesuwa się pod stołem po mojej łydce. Mama nie spuszczała ze mnie oczu, wprawiało mnie to w zakłopotanie. Nie chciałam, żeby się czuła u nas nieswojo, miała wrażenie, że nam zawadza. Odepchnęłam jego stopę i przestał.

***

Mama była paleontologiem. Przez czterdzieści lat badała skamieliny ryb, ciemnobrązowe szkielety uwięzione w zwartych warstwach karpackich łupków. Ojciec powiedział mi kiedyś, że z tych skamielin potrafi ona określić głębokość pradawnych mórz, skład ich wód, rodzaj prądów i pokładów geologicznych na ich dnie. Co lato wyjeżdżaliśmy wszyscy do podkarpackich wiosek z ich wozami konnymi, cuchnącymi wygódkami i kopcącymi lampami naftowymi. Od miejscowych chłopów wynajmowaliśmy

pobielane izby, w których nad chwiejnymi łóżkami z siennikami wypchanymi słomą wisiały obrazy Chrystusa z obnażonym gorejącym sercem.

Codziennie rano mama, tato i kilkoro studentów, którzy z nami przyjeżdżali, szliśmy na odkrywki. Co roku obiecywałam sobie, że się do tego zapalę, i przez pierwsze kilka dni łupałam warstwy skalne z nadzieją, że odkryję jakiś rzadki okaz, coś, czego mama nie odrzuci za jednym rzutem oka jako "zwykłego śledzia". Ale mój entuzjazm gasł szybko. Gryzły mnie owady, woda w potokach była za płytka do pływania, a mama nie miała czasu na zabawy, odbijała płatami warstwy łupka, rozdzielała je niecierpliwie i odrzucała puste na rosnącą kupę. Zostawałam więc z babcią we wsi. Próbowałam się bawić z wiejskimi dziećmi, ale te miały swoje obowiązki i śmiały się z mojej mowy.

– Co twoja matka tam kopie? – chciały wiedzieć. – Złota szuka?

– Nie – mówiłam żałując, że tego nie robi, pragnąc, żeby robiła cokolwiek, co bym mogła wytłumaczyć.

***

– Nazywają się *gypsy moth* – wyjaśniałam mamie. Nie znałam ich polskiej nazwy, nie znałam też łacińskiej, którą mama by pewnie rozpoznała. – Są w tym roku plagą w całym Ontario.

Wielkie dęby, które mijaliśmy koło ścieżki schodzącej do rzeki, utraciły prawie wszystkie liście. Był dopiero koniec lipca, a całą ziemię zaścielały półzeschłe płatki i gołe łodyżki, szkielety liści, zielonkawe, pajęczo cienkie.

– Mam nadzieję, że dęby nie uschną – powiedziałam.

Mama wzruszyła ramionami.

– Oczywiście, że nie uschną – odparła. – To dla nich nie koniec świata.

***

Patricka poznałam krótkie parę miesięcy wcześniej, w grudniu 1989, na przyjęciu u znajomych. Właśnie zostałam zwolniona z pracy, a miałam już trzydzieści osiem lat. Był to okres, kiedy pierwsza fala cięć budżetowych dotknęła ontaryjskie uczelnie. Uczyłam nowych imigrantów angielskiego, dopóki pewnego dnia nie zredukowano pięciorga z nas.

Powinnam była wiedzieć, co się szykuje, ale nie wiedziałam. Lubiłam swoją pracę, byłam w niej dobra. Studenci mnie chwalili. Telefon zadzwonił o siódmej rano, parę minut przed moim wyjściem na zajęcia o ósmej. Ktoś z Działu Personalnego, osoba, z którą nidgy dotąd nie miałam do czynienia, zawiadomił

mnie, że mam przyjść o czwartej na zebranie.

– Jakie zebranie? – zapytałam. – O co chodzi?

– Tego nie mogę pani powiedzieć – odrzekła kobieta. – Przykro mi, ale takie zarządzenie. Nie wolno mi więcej mówić.

W college'u szef nie chciał się ze mną zobaczyć. Sekretarka powiedziała mi, że jest zbyt zajęty. Mam poczekać do zebrania, to się wszystkiego dowiem. Czułam, że nie może to być dobra wiadomość, ale miałam jeszcze nadzieję.

– Może chcą cię awansować – szepnęła mi z uśmiechem przyjaciółka.

O czwartej nie pozostał mi już cień nadziei. Szef unikał mego wzroku, wręczając mi białą kopertę z moim nazwiskiem.

– Nie jest to sprawa pani kwalifikacji – powiedziała słodziutkim głosem personalna – ani wyników pani nauczania. Decyduje niewielka wysługa lat.

W kopercie, oprócz zawiadomienia o zwolnieniu, były dwie broszury. "Poradnictwo i usługi prawne dla pracowników wyższych uczelni" – głosiła czerwonymi literami jedna z nich. "Jak sobie radzić w kryzysach życiowych" – doradzała druga.

W Polsce mówiliśmy, że nieszczęścia chodzą parami. Parę dni później w kieszeni marynarki mego przyjaciela znalazłam pomiętą kartkę z nazwiskiem i telefonem kobiety. Wykręciłam numer.

„Cześć! Tu Catherine. Wiecie, jak nie lubię, kiedy mi coś przelatuje koło nosa. Dotyczy to i waszego telefonu. Zostawcie wiadomość albo zadzwońcie jeszcze raz".

Młody, jędrny głos kobiecy. Prężny, pomyślałam, pewny siebie. Wyobraziłam sobie jej smukłe kształty opięte lykrą, długie kasztanowe włosy. Kasztanowe włosy wzięły się z reklamy w *New Yorkerze*, którą dzwoniąc widziałam kątem oka: młoda kobieta w czarnej sukience bez rękawów, z wężowym uśmieszkiem triumfu na wargach, zaciąga się cygarem. Z ciemności w tle dochodzi męski głos: "Agnes, nie widziałaś moich Don Diegos?"

Kiedy go poznałam, Patrick miał na sobie ciemnopopielaty garnitur, w klapie wpięty emblemat liścia klonowego. Zapach wody kolońskiej otaczał go ostrą piżmową tarczą. Przedstawił się jako konsultant do spraw systemów ochrony środowiska, z ramienia rządu sprzedający technologię kanadyjską do Chin.

– I podoba się panu ta praca? – spytałam.

– Cóż, praca jak praca – odparł przyglądając się z uśmiechem, jak cedzę wino. – Nie mogę powiedzieć, że jej nie lubię. Poza tym nieźle mi idzie. A pani?

Opowiedziałam mu o Polsce. Kiedy z niej wyjeżdżałam w 1982 roku, sklepy były puste, po Warszawie jeździły czołgi, żołnierze czaili się na rogach ulic.

– Ale to już melodia przeszłości, nie? Co pani robi t e r a z?

Rzucił to pytanie z lekkim półuśmieszkiem na twarzy, tym uśmieszkiem filuternego chłopca, jakiemu najtrudniej się oprzeć. To jego t e r a z wprawiło mnie w zakłopotanie. Powiedziałam, że padłam ofiarą redukcji w college'u, ale udało mi się zdobyć parę kursów tu i tam. Robię przekłady, tłumaczę w Departamencie Imigracji. Co się trafi.

– Marnuje pani czas, Yvonne – orzekł.

Już wtedy mi się podobał. Pamiętam, jak patrzyłam na jego dłoń, w której trzymał szklaneczkę whisky, na kształt jego paznokci z wymownymi śladami skaleczeń. Biała nasada paznokcia palca wskazującego wżerała się głęboko w ciało; widać odcięta kiedyś, nie zrosła się nigdy właściwie. To ręce mężczyzny, który się nie oszczędza, pomyślałam, który potrafi zrobić wszystko.

– Jest pani za dobra na takie bzdety – powiedział patrząc mi prosto w oczy, a skóra jego twarzy napięła się i poróżowiała.

Siedzieliśmy od dłuższego czasu na wysokich stołkach barowych, zaczynały mnie od tego boleć plecy. Pokręciłam szyją, żeby zmniejszyć trochę napięcie mięśni, ale niewiele to pomogło. Oparłam się na łokciu, popatrzyłam na Patricka z ukosa.

– Rynek azjatycki jest przereklamowany, ślepa uliczka, tak ja to widzę. Europa to co innego -mówił – najwyższa pora, żebyśmy się tam załapali.

Święta racja, myślałam. Kiedyśmy to mówili, kruszono betonowe płyty muru berlińskiego, łupano je na pamiątkowe kamyki. Polska przeobrażała się szybko w kwitnący rynek, krainę wielkich możliwości, z giełdą, McDonaldami, pizzeriami, Marriottem i lalkami Barbie o szeroko rozwartych oczach i twardych, spiczastych piersiach.

Kiedy pojechałam do Warszawy na pogrzeb ojca, nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Partyjne slogany głoszące wieczną przyjaźń Polski ze Związkiem Radzieckim zostały zastąpione kolorowymi billboardami. Chodniki były zastawione improwizowanymi stoiskami. Cokolwiek się nadawało, stoliki ogrodowe czy łóżka polowe, służyło za punkty sprzedaży ze zręcznie ustawionymi piramidami papierosów malboro, camel,

rothmans. Niektóre oferowały francuskie perfumy, niemieckie mydła, wielkie plastykowe butelki szamponu.

– Koniec z kolejkami – powiedziała mama. – Mogę kupić szynkę, kiedy chcę. Starczy dla każdego. Więc dlaczego musieliśmy się uganiać za wszystkim przez tyle lat?

Siedziałyśmy w nowo otwartej restauracji na Nowym Świecie, mama w swojej czarnej sukni wydawała się taka drobna, jakby głowę zaprzątała jej tylko myśl, żeby zajmować jak najmniej miejsca. Czekałam, kiedy zacznie mówić o ojcu, ale nie zaczynała. A ja nie przynaglałam.

– Nie mogę na to patrzeć – szepnęła do mnie wskazując brodą młodą kobietę w dżinsach, która się sadowiła przy sąsiednim stoliku. – To zgubne dla populacji. – Chodziło jej o obcisłość dżinsów, sposób, w jaki elestyczny materiał przylega do ciała. Wyliczała swoje obiekcje: utrudnia to krążenie krwi, drażni skórę, powoduje infekcje. – I to młode kobiety – dowodziła – w wieku, w którym powinny rodzić.

Pokręciła głową w ten swój komiczny sposób, którego nie znoszę, drobnymi ptasimi ruchami dezaprobaty.

– Może ona wcale nie chce mieć dzieci – powiedziałam i wzruszyłam ramionami.

Nie miałam zamiaru wdawać się z nią w dyskusje, teraz ani nigdy, wytykać jej, że się zawsze troszczy o "populację", a nie po prostu o ludzi. Kiedy byłam mała, starałam się wyobrazić sobie te pokolenia, o których tak często mówiła, te "banki genów dziesiątkowane przez wojny i powstania", milczące szare armie mamy, sunące z mozołem przez czas.

– To nie tylko ona, wszystkie to noszą – powiedziała z niedowierzaniem mama, nie pojmując, jak mogę się z nią nie zgadzać.- Chodzi o zdrowie narodu, więc jak możesz coś podobnego mówić.

Zaraz po przyjęciu Partick zaprosił mnie na kolację. Niedaleko stąd jest mała grecka restauracja, Il Paradiso, z gipsowymi kopiami starożytnych rzeźb i winoroślą z jedwabiu rozpięta na jońskich kolumnach. To tam Patrick mi powiedział, że ma dostateczne znajomości w sektorze ochrony środowiska, żeby otworzyć właściwe drzwi w Ottawie. Mogłabym wykorzystać kontakty rodziców w Warszawie, dowodził. Pośredniczyć i tłumaczyć.

– Zarobisz więcej przez rok niż ten dupek, który cię wyrzucił, zarobi przez dziesięć – powiedział ze śmiechem i wypiliśmy za to.

Miał rację. W ciągu trzech miesięcy skompletowaliśmy zespół polskich chemików do produkcji żywic jonowymiennych

oczyszczających ścieki przemysłowe. Żywica, tłumaczył Patrick, pochłania jony miedzi, srebra i metali ciężkich, wyzwalając w ich miejsce jony obojętne. W ciągu niewielu godzin jest w stanie przemienić hektolitry trujących ścieków w nieszkodliwą ciecz.

Jedyny problem stanowiło to, że synteza tych żywic wymaga użycia substancji freonopodobnych, a to naprawdę "śmierdząca sprawa", jak to określił Patrick. Jednym ze sposobów wytwarzania takich reagentów jest produkcja w hermetycznych pomieszczeniach, to jednak byłoby zbyt kosztowne i trudne do zagwarantowania. Innym sposobem byłoby przeniesienie brudnej fazy produkcji na Ukrainę, gdzie przepisy ochrony środowiska są znacznie bardziej liberalne.

– Tam to jest całkowiecie legalne – powiedział Patrick, kiedy się zawahałam. – To kwestia wyboru, Yvonne. Co jest bardziej szkodliwe, nieuzdatnione ścieki spuszczane do waszych rzek czy kilka ewentualnych wycieków i emisji setki kilometrów dalej?

Nie chcę tu zanudzać szczegółami handlowymi, ale faktem jest, że otworzywszy fabrykę w Polsce, byliśmy wkrótce w stanie wytwarzać żywicę taniej niż zakłady Dow Chemicals. "Niczego sobie"- entuzjazmował się Patrick z szerokim uśmiechem. Miał na pieńku z zakładami Dow z dawnych lat, kiedy się dekował przed poborem.

W ciągu roku pozyskaliśmy nabywców w Niemczech i Stanach- zupełnie nieźle jak na początek.

Piliśmy pod ten sukces w klubie Panorama na czterdziestym piętrze hotelu Marriott w Warszawie, skąd nawet Pałac Kultury i Nauki, ten "dar" Stalina dla niegdyś zniewolonego miasta, wyglądał jak nędzna szara zabawka.



Ewa Stachniak, fot. Mark Reynes Roberts

Druga część opowiadania Ewy Stachniak „Spacer nad Credit River" ukaże się we wtorek, 13 sierpnia 2019 r.